

Helen Fielding

Dziennik

**BRIDGET
JONES
DZIECKO**



ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Helen Fielding
Dziennik
**BRIDGET
JONES**
DZIECKO

Tłumaczyli
Jan i Katarzyna Karłowscy

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Helen Fielding
Dziecko Bridget Jones. Dziennik

Tytuł oryginału
Bridget Jones's Baby. The Diaries

ISBN 978-83-65676-43-6

Copyright © 2016 by Helen Fielding
All rights reserved

Copyright © 2016 for the Polish translation by Zysk i S-ka
Wydawnictwo s.j., Poznań
Redaktor
Magdalena Wójcik

Projekt graficzny okładki
Agnieszka Herman

Wydanie 1

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67
faks 61 852 63 26
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w Zysk i S-ka
Wydawnictwo.

Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
Strona redakcyjna
Dedykacja
Wstęp
Apokaliptyczny znak
Chrzcziny
Mężczyźni są jak autobusy
Premenopauza
Kto to zrobił?
Powiedzieć prawdę
Bezmózgowie
Wartości rodzinne
Chaos i bezhołowie
Kompletne załamanie
„Nie”
Kiedy z małego robisz coś wielkiego
Zrozumienie
Pojednanie
Jej królewska mość ratuje sytuację, poniekąd
Cięża urojona
Narodziny
Dałaś radę!
Podziękowania

Dla Kevina, Dasha i Romy

Wstęp

Mój Najukochańszy Billy!

Mam przeczucie, że dowiesz się o wszystkim, więc pomyślałam sobie, że będzie lepiej, jak usłyszysz z ust własnej mamy, jak to się zaczęło.

Daję Ci do przeczytania kawałki moich dzienników i jeszcze rozmaite to i owo z tamtego dość mocno pogmatwanego czasu.

Tylko żebyś się nie zgorszył, proszę. Mam nadzieję, że w trakcie czytania będziesz już duży i zrozumiesz, dlaczego nawet Twój rodzice mogli coś takiego zmalować, a zresztą sam dobrze wiesz, że ja zawsze byłam troszeczkę niegrzeczna.

Bo na czym polega cała sprawa? Widzisz, ludzie myślą, że powinni się stawać jacyś tam, a tak naprawdę stają się zupełnie inni, i inaczej też wyobrażają sobie, jak im się życie potoczy, niż to się potem dzieje rzeczywiście.

Ale wystarczy tylko zachować zimną krew i nie tracić pogody ducha, wtedy wszystko się dobrze skończy — w każdym razie w moim przypadku wszystko się dobrze skończyło, bo się urodziłeś, a to najlepsza rzecz, jaka mi się przytrafiła w życiu.

Przepraszam za to i w ogóle za wszystko.

Buziaki, Mama

(Bridget)

JEDEN

Apokaliptyczny znak

24 CZERWCA, sobota

Południe. Londyn, w domu. O Boże, Boże! Przegrywam walkę z czasem, koszmarny kac i w ogóle masak... No świetnie! Telefon!

— Cześć, kochanie, nie zgadniesz, co ci powiem! — Moja matka. — Dopiero co byliśmy u Mavis Enderbury na Śniadaniowym Karaoke... i w życiu nie zgadniesz! Julie Enderbury właśnie sobie...

Niemal można było usłyszeć przysłowiowy pisk hamulców. Jakby zamierzała palnąć „zrzuciła dwadzieścia kilo”, ale połapała się, że stoi obok osoby cierpiącej na chorobliwą otyłość.

— Właśnie sobie co? — wymamrotałam, szaleńczo pchając do ust resztki koziego sera i zagryzając batonem proteinowym w nadziei, że to pomoże na kaca, a jednocześnie próbując z pobjowiska na łóżku wydobyć strój w miarę odpowiedni na chrzciny.

— Ach, nic, nic takiego, kochanie! — wyszczebiotała.

— Co Julie Enderbury właśnie sobie? — Czknęło mi się. — Właśnie sobie kazała przyprawić cycki jeszcze bardziej gigantyczne od poprzednich? Właśnie sobie sprawiła wygimnastykowanego młodego Brazylijczyka?

— Ależ naprawdę nic takiego, kochanie. Właśnie sobie urodziła trzecie, ale nie o tym chciałam z tobą rozmawiać, zadzwoniłam, żeby...

Grrr! Dlaczego ona mi to wiecznie ROBI? Nie dość, że koniec wieku rozrodczego coraz bliżej, to jeszcze...

— Dlaczego unikasz rozmowy o trzecim dziecku Julie Enderbury? — wycharczałam, dusząc na oślep przyciski pilotów, żeby poszukać ratunku w telewizji; tyle tylko zdołałam, że z ekranu wyskoczyła na mnie reklama z udziałem anorektycznej nastoletniej modelki i niemowlaka bawiącego się rolką papieru toaletowego.

— Ależ nie unikam — odparowała beztrąsko matka. — Nieważne, popatrz na taką Angelinę. Zaadoptowała to chińskie maleństwo...

— Gdybyś sprawdziła, tobyś wiedziała, że Maddox jest z Kambodży, mamó — wycedziłam zimno. Słowo daję, matka o celebrytach wypowiada się tak autorytatywnie, jakby program Śniadaniowego Karaoke u Mavis Enderbury uwzględniał pogawędkę od serca z Angeliną Jolie.

— Nie to jest ważne, tylko to, że Angelina najpierw adoptowała tego dzieciaczka, a potem nie tylko złapała Brada, ale jeszcze dorobiła się tych innych dzieci.

— Nie wydaje mi się, że to akurat pomogło Angelinie w „złapaniu” Brada Pitta, mamó. Posiadanie dziecka to nie jest jakaś Korona Himalajów w życiu kobiety — powiedziałam, z wysiłkiem wbijając się w absurdalnie zwiewną kieckę koloru brzoskwiniowego, którą po raz ostatni miałam na sobie na ślubie Magdy.

— Tak trzymaj, kochanie. Tylu ludzi nie ma dzieci i żyją jak w bajce! Weź Wynn i Ashleya Greenów! Trzydzieści cztery razy spływali w dół Nilu! Zwróć uwagę, przez cały czas jako para, więc...

— Może tak przyjmiesz do wiadomości, mamó, że ten jeden jedyny raz w życiu jestem naprawdę szczęśliwa. Powodzi mi się w pracy, mam nowy samochód z nawigacją satelitarną i jestem woolna... — wyplułam z siebie, zerkając przy tym za okno, gdzie czekał na mnie osobliwy widok: grupa ciężarnych kobiet przechodziła ulicą koło mojego domu, czule obejmując swoje brzuchy.

— Hmm. Ale co to ja chciałam powiedzieć? W życiu byś nie zgadła.

— Że co?

Śladem pierwszej gromadki szły następne trzy ciężarne. Dziwnie, coraz dziwniej...

— Zgodziła się! Królowa! Dwudziestego trzeciego marca przyjeżdża z królewską wizytą świętować tysiąc pięćsetną rocznicę postawienia kamienia Ethelreda.

— Co? Kto? Jakiego znowu Ethelreda?

Pod moimi oknami maszerowała właśnie cała procesja ciężarnych kobiet.

— Nie wiesz? To jest to coś, co stoi w wiosce obok hydrantu pożarowego... Mavis założyli tam blokadę na koła. Zabytek z czasów anglosaskich — głądziła mama na autopilocie. — A tak w ogóle, czy ty nie powinnaś być dzisiaj na chrzcinach? Elaine mówiła mi, że Mar...

— Mamó. Tu się dzieją jakieś dziwne rzeczy — przerwałam jej zdławionym głosem. — Muszę iśćpa.

Grrr! Dlaczego wszyscy przysięgli się, żeby traktować bezdziejne

kobiety jak idiotki? Chodzi mi o to, że przecież dla nikogo, matkę wliczając, sprawa nie jest wcale taka jasna i oczywista. Stale od niej słyszę: „Czasami wolałabym w ogóle nie mieć dzieci, kochanie”. A zresztą niełatwo sobie radzić w dzisiejszym świecie, gdzie mężczyźni to w coraz większym stopniu gatunek prymitywny i niewyewoluowany, i ostatnią rzeczą, jakiej się chce... Aaaa! Dzwonek do drzwi.

12.30. Shazzer przysła — nareszcie! Otworzyłam jej domofonem i kompletnie zdziwiłam dopadłam do okna, gdy tymczasem Shazzer, wystrojona w mocno niepasującą do chrzcin małą czarną i pantofle Jimmy Choo, powędrowała prosto do lodówki, stukając obcasami.

— Ruchy, Bridge! Jesteśmy gorzej niż spóźnione! Ale co ty się tak czaisz pod tym oknem? I czemu się przebrałaś za wróżkę z bajki?

— To omen — wybełkotałam. — Bóg mnie karze, bo jestem egoistyczną karierowiczką, a życie na ziemi nie może przeze mnie rozkwitać, bo stosuję środki antykoncepcyjne.

— Mogę wiedzieć, czemu pieprzysz jak potłuczona? — rzuciła pogodnie Shazzer i otworzyła lodówkę. — Masz wino?

— Nie zauważyłaś? Na ulicy jest pełno ciężarnych. To znak, apokaliptyczny znak. Jeszcze trochę i z nieba będą spadały krowy, zaczną się rodzić konie z ośmioma nogami i...

Shazzer podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz, wypinając swój jędrny tyłek, obleczony ciasno w małą czarną.

— Nikogo tam nie ma oprócz jednego teoretycznie seksownego chłopaka z brodą. Nie, cofam to, nie jest seksowny. Znaczy nie bardzo. Chociaż może bez tej brody...

Doskoczyłam do okna i błędnym wzrokiem omiotłam pustą ulicę.

— Zniknęły. Zniknęły. Tylko gdzie się podziały? No gdzie one są?!

— OK, spokój, spokój, cudowny spokój, spokój... — mówiła Shazzer, z miną amerykańskiej policjantki, która przemawia do ósmego uzbrojonego świra tego dnia.

Spojrzałam na nią głupawo, mrużąc oczy jak królik uwięziony w świetle reflektorów samochodowych, a potem wypadłam jak bomba z mieszkania i zbiegłam na dół, ścigana przez stukot butów od Jimmy Choo.

Ha! Zatriumfowałam wewnątrznie, gdy już znalazłam się na ulicy. Zobaczyłam JESZCZE DWIE ciężarne kobiety idące pospiesznie w tę samą stronę.

— Kim wy jesteście? — mężnie stawiałam im czoło. — Co zwiastujecie? Co was z sobą łączy?

Kobiety gestem dłoni wskazały zamkniętą wegańską knajpkę i ustawioną przed nią tablicę z napisem: NOWOŚĆ! BŁYSKAWICZNY KURS JOGI DLA CIĘŻARNYCH!

Stojąca za mną Shazzer parsknęła głośno.

— Ach, już rozumiem, to wspaniale, bosko — powiedziałam do kobiet. — Życzę miłego popołudnia. Najmilszego.

— Bridget — powiedziała Shaz. — Jesteś obłąkana.

I obie osunęłyśmy się na próg, chichocząc z lekka histerycznie.

13.04. Londyn. Mój samochód.

— Nie szalej, zdążymy — powiedziała Shazzer.

Cztery minuty temu miałyśmy być w Chislewood House, na przedchrzcinowym drinku, a tymczasem tkwiłyśmy w potężnym korku na Cromwell Road. Ale za to w moim nowym aucie, któremu można kazać, żeby cię zawiozło, gdzie tylko chcesz, żeby samo wybierało numer telefonu i w ogóle wszystko.

— Połącz z: Magda — zwróciłam się do samochodu, wyraźnie artykułując słowa.

— Cel podróży: Malta — odparł usłużnie samochód.

— Jaka znowu Malta, co za kretyn! — wydarła się Shazzer.

— Zmiana celu podróży: Kreta — powiedział samochód.

— No nie! Ja mu zaraz przywalę! — wrzasnęła znowu Shazzer.

— Zmiana celu podróży: Death Valley.

— Nie krzycz na mój samochód!

— Co, teraz bronisz samochodu?

— Włóżcie majtki! Natychmiast włóżcie majtki! — We wnętrzu samochodu znienacka zadudnił głos Magdy. — Macie nie pokazywać się na chrzcinach bez majtek.

— Mamy na sobie majtki — oburzyłam się.

— Mów za siebie — burknęła Shaz.

— Bridget! Gdzie cię wciąło? Jesteś matką chrzestną. Oj, mamusia

da klapsa, da klapsa, da klapsa!

— Wszystko w porządku! Pędzimy przez wieś! Zaraz będziemy!
— dodałam, półprzytomnie zerkając na Shazzer.

— No to dobrze, ale spieszcie się, bo najpierw trzeba wypić po drinasku na wzmocnienie. A właściwie to muszę ci coś powiedzieć.

— Co? — spytałam nieco uspokojona, że Magda najwyraźniej nie jest na mnie ostatecznie wściekła. Cała zabawa zaczynała się zanosić na przyjemny jednodniowy wypad.

— Hmm... chodzi o ojca chrzestnego.

— Taaak?

— Słuchaj, naprawdę mi głupio. Porodziło nam się tyle tych dzieci, że zabrakło już bodaj odlegle dorzecznych kandydatów. Jeremy go poprosił i nawet mnie nie spytał.

— No to kto został poproszony?

I tu zapadła cisza, w tle której słyhać było wrzaski. A potem usłyszałam imię, które wbiło się w moje serce, jak nóż francuskiego kucharza wbija się w gomółkę koziego sera.

— Mark.

— Żartujesz sobie — wtrąciła się Shazzer.

Znowu cisza.

— No nie, bez jaj. Żartujesz sobie, Magda? — dopytywała się Shazzer. — Co ty, kurwa, odpierdalasz, ty maniakałna masochistko? Przecież nie każesz jej, kurwa, stanąć przy chrzcielnicy obok Marka Darcy'ego, na oczach obleśnej, nadętej żoneczki, nadętej w tej swojej skurwielowatej...

— Constance! Odnieś to z powrotem! DO ŁAZIENKI! Sorry, muszę lecieć!

I tu telefon umilkł na dobre.

— Zatrzymaj samochód — rozkazała Shaz. — Nie jedziemy. Zawracaj.

— Zawróć. W najbliższym. Dozwolonym. Miejscu — odpowiedział samochód.

— Tylko dlatego, że Magda rozpaczliwie uczepiła się Jeremy'ego, w związku z czym „przypadkiem” w podeszłym wieku urodziła mu dziecko i teraz musi urządzać polowanie na rodziców chrzestnych, to

jeszcze nie powód, żeby wrabiać akurat ciebie w te rodzicielskie zabawy przed ołtarzem do spółki z twoim eks, którego na dodatek cechuje zrepresjonowany charakter analny.

— Kiedy ja muszę. To mój obowiązek. Jestem matką chrzestną. Ludzie z takich powodów jeżdżą nawet do Afganistanu.

— Bridget, to nie Afganistan, to jakieś głupkowate, złachane szambo towarzyskie. Zjedź na bok.

Próbowałam, ale wszystkich na jezdni zniecka ogarnęła histeria i zaczęli trąbić jak szaleni. W końcu znalazłam w Sainsbury stację benzynową dobudowaną do pawilonu sieci Homepage.

— Bridge. — Shazzer spojrzała na mnie i odgarnęła zabłąkany kosmyk włosów z mojej twarzy, a mnie wtedy przelotnie przemknęło przez głowę pytanie, czy ona przypadkiem nie jest lesbijką.

Bo moim zdaniem czasy teraz są takie, że młodzi ludzie najwyraźniej nie uważają siebie ani za gejów, ani za heteryków, tylko po prostu SAŃ CZYM SAŃ, a i z kobietami jest tak, że o wiele, wiele łatwiej się z nimi dogadać niż z mężczyznami. Ale z kolei ja lubię seks z facetami i nigdy nie...

— Bridget! — rzuciła surowym tonem Shazzer. — Znowu zapadłaś w trans. Na okrągło robisz to, czego chcą inni. Rób to, czego tobie trzeba. Na przykład seks. Skoro się tak uparłaś wziąć udział w tym popierdzielonym KOSZMARZE, to chociaż przeleć kogoś w trakcie. Ja w każdym razie dokładnie to mam zamiar dzisiaj robić, ale nie w tym pierdolniku, tylko u siebie w domu, skoro jednak się upierasz, aby postawić siebie w sytuacji, która jest ABSOLUTNIE NIE DO PRZYJĘCIA, po to tylko, aby wszystkich zadowolić, w takim razie wzywam taksówkę. Bo po południu ja i mój chłopczyk zorganizujemy sobie nasze własne chrzciny we dwoje.

A jednak Magda jest moją przyjaciółką i zawsze była dla mnie życzliwa. Dlatego więc pojechałam na te chrzciny, całą drogę użalając się nad sobą, że nie wyszło mi, jak miało, samiutka jak ten palec, jeśli nie liczyć mojego nowego samochodu, który na szczęście wyraźnie nabrał ochoty na pogaduchy.

Pięć lat wcześniej

Do dziś nie potrafię uwierzyć, że to się stało. Przecież nie chciałam zrobić nic złego. Próbowałam tylko być miłą. Shazzer ma rację. Muszę koniecznie się zresetować i zacząć też więcej czytać, np. *Dlaczego mężczyźni kochają żolzy*.

Na imprezę zaręczynową wynajęliśmy salę balową w hotelu Claridge's. Gdyby to zależało tylko ode mnie, wszystko by się odbyło w lokalu bardziej artystycznym, ze sznurami lampek choinkowych, z koszykami zamiast abażurów, z kanapami na dworze zamiast w środku itd. Ale Mark uznał, że Claridge's to właściwe miejsce na zaręczyny, a przecież na tym właśnie polegają związki, że człowiek się dostosowuje i już. I Mark, który nie umie śpiewać, zaśpiewał. Przerobił słowa do *My Funny Valentine*.

My funny valentine, sweet funny valentine,

Ty pierwsza stopiłaś serca mego lód,

I choć głupstewka słodkie mówisz,

Wciąż te kalorie i cellulit,

Kocham cię, chociaż wad masz w bród.

Na punkcie wagi opętana. Spóźniasz się bez opamiętania.

I w krąg wiecznie siejesz zamęt.

Lecz nie zagłębiaj się w Prousta i Poego,

Bo lepsze jest wrogiem dobrego,

Chcę tylko szczerości i ciepła twojego

Nie zmieniaj się i wyjdź za mnie.

Z tym śpiewaniem naprawdę było u niego kiepsko, ale że

normalnie jest strasznie sztywny, wszyscy się niesamowicie wtedy wzruszyli, a Mark to już zupełnie wyszedł z siebie i pocałował mnie w usta, tak publicznie. Z ręką na sercu, pomyślałam wtedy, że już nigdy w życiu nie będę bardziej szczęśliwa.

A potem wszystko, niestety, zdecydowanie się posypało.

Postanowienia

Jeżeli kiedykolwiek jeszcze coś znowu prawie mi się uda, to będę szerokim łukiem omijała rzeczy następujące:

a) Karaoke.

b) Daniela Cleavera (mój były chłopak, stary kumpel Marka z Cambridge i jego wróg numer jeden, ponieważ rozwalił mu pierwsze małżeństwo, uprawiając seks na stole kuchennym z jego pierwszą żoną w momencie, gdy Mark akurat wrócił z pracy).

Właśnie złąziłam niepewnie ze stołu, po wykonaniu mojej wersji *I Will Always Love You*, kiedy zauważyłam, że Daniel Cleaver gapi się na mnie z udręczoną, tragiczną miną.

Sprawa z Danielem polega na tym, że to pozbawiony zahamowań seksualny manipulant i zdrajca, który kłamie jak najęty i potrafi być wredny jak mało kto; Mark oczywiście go nienawidzi za to, co zaszło w przeszłości, ale ja wciąż mimo wszystko uważam, że ma w sobie coś uroczonego.

— Jones — powiedział Daniel. — Pomożesz mi? Rozpacz sprawa, że przeżywam katusze. Jesteś tą jedyną z wszystkich istot na świecie, która potencjalnie mogła mnie uratować, a tymczasem ty wychodzisz za innego. Czuję, że ulegam dezintegracji, prawie jakbym rozpadał się na kawałki. Czy zechcesz mi poświęcić choć kilka życzliwych słów na osobności, Jones? Mogę cię prosić?

— Alefofyfisie, Daniel, jachnajbadziej — wybełkotałam mętnie. — Chce, żeby wszyscy byli tach szczęśliwi jak ja. — Z perspektywy czasu sądzę, że mogłam być wtedy odrobineczkę wstawiona.

Daniel już mnie trzymał pod rękę i ciągnął w jakimś bliżej nieokreślonym kierunku.

— To są katusze, Jones, co ja czuję. Istne tortury.

— Nie. Ssłuchaj. Ja napraawdę, napraawdę myślę, sze... szęcie

jes takie...

— Chodź tutaj, Jones, proszę. Naprawdę musimy pogadać, w cztery oczy... — mówił Daniel, prowadząc mnie z pewnymi trudnościami do jakiegoś ustronnego pomieszczenia. — Czy moje życie jest odtąd skazane na przegraną, już na wieczność, powiedz szczerze?

— Nie! — zaprotestowałam. — Fszyciu. Daniel! Jesze dziesz badzo sześliwy.

— Przytul mnie, Jones — odparł na to. — Boję się, że już nigdy...

— Szłuchaj. Szęsie jest sześliwe, bo... — dowodziłam, ale w tym momencie straciliśmy równowagę i przewróciliśmy się na podłogę.

— Jones — wycharczał głucho, wyraźnie napalony. — Pozwól mi po raz ostatni spojrzeć na te twoje wielkie mamusine majtasy, które tak ubóstwiam. Żeby uszczęśliwić tatusia? Zanim moje życie rozsypie się w proch?

Wtedy drzwi otworzyły się gwałtownie i kiedy zadarłam głowę, ku swemu przerażeniu zobaczyłam twarz Marka, dokładnie w tym samym momencie, w którym Daniel zadzierał mi spódniczkę. W piwnych oczach mojego narzeczonego na krótką chwilę pojawił się ból, a zaraz potem totalny chłód, zero emocji.

To była ta jedna, jedyna rzecz, której Mark za nic nie potrafiłby mi odpuścić. Z tamtej imprezy wyszliśmy razem, jak gdyby nigdy nic. I potem przez ileś tam tygodni brnęliśmy w to jeszcze, udając przed światem, że wszystko jest w porządku, i bez powodzenia próbowaliśmy też udawać to przed sobą.

Jak wiadomo, mam dyplom z filologii angielskiej z Uniwersytetu w Bangor i dzięki temu do głowy przyszedł mi cytat z jednego z cudownych dzieł D.H. Lawrence'a:

„W jej duszy, dumnej i prawej, coś zakrzepło i stwardniało jak gład”¹.

Jakieś miejsce w duszy Marka, dumnej i prawej, miejsce, które wcześniej zajmowałam ja, teraz zakrzepło i stwardniało jak gład. „Co z nim, kurwa, jest nie tak? To był kompletnie nieistotny epizod w porównaniu z całym życiem. Przecież wie, jaki jest Daniel”, mówili znajomi. A jednak w przypadku Marka chodziło o coś znacznie więcej, ale ja nie potrafiłam tego zrozumieć, a on wyjaśnić. To była ta ostatnia

kropla, która przepelnia czarę goryczy. I w końcu oznajmił, że nie jest w stanie ciągnąć tego dłużej. Że nadal mam swoje mieszkanie, że przeprosza za kłopot, za zawód miłosny itd. A potem jeszcze się postarał, żeby wieści o naszych zerwanych zaręczynach obieły naszych przyjaciół i rodziny w należycie elegancki sposób, i krótko po tym wyjechał do pracy w północnej Kalifornii.

Moi wspaniali przyjaciele wołali potem: „To facet ze zrepresjonowanym charakterem analnym, który dostał na głowę, bo chodził do prywatnej szkoły i w życiu się z nikim nie zwiąże”. Tymczasem sześć miesięcy później Mark ożenił się z nabzdyczoną, patyczakowatą prawniczką, która z nim była tamtego pierwszego razu, kiedy zobaczyłam go w garniturze, na literackiej imprezie poświęconej *Motocyklowi Kafki*, podczas której ona zamęczała Salmana Rushdiego jakimiś „hierarchiami w kulturze”, a ja nie potrafiłam z siebie wykrzesać nic oprócz „Nie wiecie, gdzie tu są toalety?”.

Z Danielem nie miałam potem żadnego kontaktu. „OLEJ Daniela. To pozbawiony zahamowań seksoholik i emocjonalnie popapwany związkofob, który w życiu się z nikim nie zwiąże”, perorowała Shazzer. Siedem miesięcy później Daniel ożenił się ze wschodnioeuropejską modelką/księżniczką i co jakiś czas zaszczycał strony brukowca „Hello” swymi fotami, na których stał wsparty o balustradę zamku z górami w tle i miał minę cokolwiek zażenowaną.

*

I tak oto pięć lat później przeraźliwie spóźniona wlokłam się swym samochodem po M4 na pierwsze spotkanie z Markiem od czasu, kiedy się wszystko skończyło.

1 *Synowie i kochankowie*, tłum. Zofia Sroczyńska.

DWA

Chrzciny

24 czerwca, sobota

14.45. Parking przy kościele w Nether Stubble, Gloucestershire.

OK. Wszystko w jak najlepszym porządku. Minęło dopiero piętnaście minut od planowanego początku chrzcina, ale przecież nic nigdy nie zaczyna się o czasie, prawda? Będę spokojna, opanowana i pełna godności. Jak przydarzy mi się jakiś niezręczny moment, zapytam samą siebie: „Co w takiej sytuacji zrobiłby Dalajlama?”. I po prostu to zrobię.

Z samochodu wygramoliłam się wprost w piękną, letnią scenę: stary kościół otoczony różami, zapach świeżo skoszonej trawy, bujne listowie. Nie licząc śpiewu ptaków i bzyczenia pszczoł, wokół panowała cisza. Pięknie było, jak tylko Anglia potrafi być piękna — raz do roku, kiedy słońce świeci, a wszyscy wewnętrznie panikują, gdyż doskonale wiedzą, że na następny taki dzień czekać trzeba będzie dobry rok.

Chwiejnym krokiem ruszyłam w kierunku kościoła, nieco zbita z tropu tym, że wokoło ani żywej duszy. Z pewnością nie mogli zacząć chrzcina bez matki chrzestnej. I nagle w ciszę wdarł się terkot helikoptera. Zatrzymałam się z rozwianym włosiem i sukienką, a helikopter wylądował. Zanim na dobre stanął na ziemi, z kabiny niczym James Bond wyskoczył Mark Darcy i ruszył szybkim krokiem w stronę kościoła. Helikopter tymczasem zawarczał i odleciał.

Spróbowałam się opanować, oczywiście na tyle, na ile można się opanować, gdy człowiek wędruje w szpilkach po trawie, i w jednej chwili byłam w kościele. Przez cały czas tłumaczyłam sobie, że wszystko będzie dobrze, bo przecież schudłam w końcu i osiągnęłam swoją idealną wagę, w związku z czym wszyscy zobaczą, jak to zmieniłam się zupełnie. Na widok wysokiej, wyprostowanej postaci Marka przy chrzcielnicy przeszył mnie znajomy dreszcz. Wędrując główną nawą, usłyszałam wyraźnie, jak Cosmo powiedział:

— Czy ona jest chora? Wygląda jak patyczak! Co się stało z jej... no, wiecie... cyckami?

Gdy dotarłam do chrzcielnicy, proboszcz zagał:

— I otóż to. Może wreszcie będziemy mogli zacząć! — I potem mruknął pod nosem: — Mam dzisiaj jeszcze trzy takie koszmary.

— Bridget, gdzie ty się, kurwa, podziewałaś, gdzie jest Shazzer?

— syknęła Magda, na co jej ostatnia kandydatka do ochrzczenia, Molly, rozdarła się na całe gardło. — Masz... bierz ją.

Magda podała mi dziewczynkę, która pachniała pysznie: dziecięcym pudrem i mleczkiem. Przytuliła się zachwycająco do moich piersi, które, tak na marginesie, **WCIAŻ BYŁY NA SWOIM MIEJSCU**, i przestała płakać.

Mark nieznacznym błyskiem oka dał mi do zrozumienia, że zauważył moją obecność.

W sumie chrzest był całkiem fajny. Gdybym to robiła dostatecznie często, mogłabym zostać prawdziwą mistrzynią. Szkoda, że zaraz po uroczystości, zamiast dołączyć do tłumu zebranego pod kościołem, Mark poszedł sobie gdzieś i już go nie było.

Gdy dotarłam na imprezę, zaraz wpadłam na gromadkę Dętych Mamusiek.

— Wszystkie nianie z Australii zajmują się tylko wysyłaniem esemesów.

— Weź sobie dziewczynę z Europy Wschodniej! Audrona ma dyplom inżynierii lotniczej z Uniwersytetu Budapesztańskiego.

— O, patrzcie, nasza Bridget! — zaszczebotała Mufti. — Ulubiona matka chrzestna nas wszystkich!

— Ile to już, Bridget? — zapytała Caroline, głaszcząc się po wydatnym ciążowym brzuchu.

— Czterysta trzydzieści siedem — odpowiedziałam radośnie. — Trzydzieści osiem, jeżeli liczyć ten raz! Och, muszę spadać...

— Wiesz, Bridget, że już pora, żebyś miała własne — powiedziała Woney. — Czas ucieka.

Na moment stanęła mi przed oczyma wizja, jak łapię Woney za uszy i wydzieram się jej prosto w twarz: „Wydaje ci się, że nie przyszło mi to do głowy?” — ale zrezygnowałam z tej kuszącej wizji, ponieważ, jakkolwiek ironicznie by to zabrzmiało, po raz nie wiadomo który w ostatnim dziesięcioleciu nie chciałam urazić jej uczuć.

— Chcesz je pocuć? — zapytała Caroline, nadal gładząc się po wydatnym brzuchu.

— Nie, nie, raczej nie.

— Ależ śmiało, dotknij.

— Nie, naprawdę nie chcę...

— Pogłaskaj. Po brzuchu — upierała się zaskakująco ostro. — O, kopie!

— I, szczerze mówiąc, trudno mu się dziwić — wtrąciła się znienacka Magda. — Zostawcie Bridget w spokoju, wstrętne wylęgarki. Zazdrościcie po prostu, że nie macie zawodu i że nie możecie bzykać młodych bogów seksu, jak ona. Chodź, Bridget, napijmy się.

Wyprowadziła mnie z sali tortur, ale za drzwiami w jednej chwili zamarła i poblądłszy, szepnęła:

— Jeremy znowu gada z tą kobietą.

— O mój Boże, Magda. Tak mi przykro. To się jeszcze nie skończyło? — odparłam.

— No, nie. Lepiej, jak się tym zajmę. Bar jest tam. Nara.

Przedarłam się przez ścisk przy barze i wpadłam prosto na grupkę pijanych tatusiów.

— Jeśli chcesz upchnąć gówniarza do Westminsteru w wieku sześciu lat, musisz mu zafundować korki od trzeciego roku życia.

— No. I jazda zaczyna się od nowa, jak skończy jedenaście.

— No właśnie.

— Chyba że mieli łacinę w programie.

— Bridget! A ty co, chora? Gdzie się podziały twoje słynne cycki?

— Masz już chłopaka?

Udało mi się jakoś wyminąć ich bez poważniejszego incydentu, uśmiechałam się tylko enigmatycznie i kiwałam głową. I kiedy już pomyślałam, że gorzej być nie może, znalazłam się przy barze tuż obok Marka Darcy'ego.

Nasza rozmowa potoczyła się następująco:

MARK DARCY: Cześć.

JA: Cześć.

MARK DARCY: Co u ciebie?

JA: *(głosem cokolwiek zdławionym)* Bardzo dobrze, dzięki. A co u ciebie?

MARK DARCY: Nieźle.

JA: U mnie też nieźle.

MARK DARCY: To dobrze.

JA: Tak.

MARK DARCY: Dobrze.

JA: Tak.

MARK DARCY: W takim razie do widzenia.

JA: Tak. No to do widzenia.

Każde z nas obsługiwał inny barman.

— Poproszę kieliszek białego wina — powiedziałam.

— Wódka z martini — usłyszałam głos Marka.

— Duży kieliszek, jak największy.

— Niech będzie potrójna.

— Duży, duży.

— I whisky na popitkę.

Staliśmy plecami do siebie, co czyniło sytuację ekstremalnie niezręczną. Po chwili jednak pijani tatusiowie obsiedli Marka.

— Darcyyyyyyyyyy! Do diabła, jak się masz, stary draniu? O co chodziło z tym spóźnieniem, z tym helikopterem?

— Cóż, prawdę powiedziawszy, hm, miałem stosunkowo ważne spotkanie w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

Barman podał mi kieliszek z winem, pociągnęłam solidny haust i zaczęłam się wymykać.

— Jak tam z powrotem w życiu singla, Darcy? — zapytał Cosmo. Znieruchomiałam. Singla?

— Cicha woda z ciebie, co? Masz na oku jakieś nowe towary?

— Cóż, nie bardzo... — zaczął wyjaśniać Mark.

— Co jest z tobą, żaloszny, stary kutafonie? Taki Johnny Forrester ledwie wyszedł z rozprawy rozwodowej, a już był zatowarowany. Dosłownie tarzał się w towarach. Każdej nocy.

Znów nerwowo pociągnęłam z kieliszka, a Mark tymczasem wymamrotał:

— Tak, należy przypuszczać, że nie macie pojęcia, jak naprawdę wygląda życie singla w moim wieku. Gdzie się tylko obrócisz, ktoś próbuje cię upchnąć jakiejś zbałamuconej kobiecie w określonym wieku, szukającej rycerza na białym koniu, który rozwiąże jej wszystkie problemy: finansowe, cielesne i inne. Tak czy owak muszą lecieć. No. Trzeba spadać.

Chwiejnym krokiem wyszłam i za drzwiami oparłam się o ścianę, bo w głowie mi się kręciło nie na żarty. Singiel? Rozwiódł się z Natashą? „Kobieta w określonym wieku”? Czy on mówił o MNIE???

Może doszedł do wniosku, że chrzest jest jakimś rodzajem makabrycznej ustawki? Naprawdę już MUSIAŁ IŚĆ? Konfuzja i uraza kłębiły mi się w głowie i zabierałam się właśnie do pisania esemesa do Shazzer, kiedy pojawiła się Magda, wyraźnie już nieźle pijana.

— Bridget! Mark się rozwiódł — oznajmiła. — Rozwiódł! Zostawił tego patyczaka.

— Właśnie się dowiedziałam.

— Idziemy na dwór, musimy natychmiast wszystko obgadać.

Kiedy z Magdą przeciskałyśmy się obok baru, pijani tatusiowie nadawali już na swym kreatywnym autopilocie.

— A co z Bridget? Nigdy nie rozumiałem, dlaczego ci dwoje nie zaskoczyli?

— Byli z sobą dostatecznie długo.

— Może ona była za stara, albo jemu brakło żołnierzyków?

W ogrodzie zastałyśmy liczną gromadkę dzieci, które ani nie wspinały się na drzewa, ani nie bawiły się w gonito, ani nie biegały w parach ze związanymi nogami itd., normalnie, jak to dzieci — tylko wszystkie były przyklejone do ekranów urządzeń elektronicznych. Magda ruszyła ostro w ich stronę.

— Zac! Dość! Natychmiast! Powiedziałam, czterdzieści pięć minut.

— Ale JESZCZE NIE SKOŃCZYŁEM TEGO LEVELA!

— Dość! Już! Wszyscy, koniec! — krzyczała Magda, niepewnymi od alkoholu ruchami próbując im odebrać urządzenia.

— To po prostu CHOLERNIE NIESPRAWIEDLIWE!

— Stracę wszystkie swoje KORONY!

— NIE OBCHODZĄ MNIE TWOJE PIEPRZONE KORONY. ODDAWAJ!

Rozpętało się piekło.

— CISZA! — ryknął ktoś donośnie. — Potter, Roebuck, koniec z tym! Ustawić się w szeregu!

Oślupiałym chłopcom zapewne się ubzdurało, że z powrotem są

w szkole, ponieważ bez dalszych protestów uformowali szereg i stanęli na baczność.

— Dobrze — pochwalił ich Mark i zaczął przechadzać się przed nimi, jakby występował w sądzie. — Skandaliczne postępowanie. Zachowujcie się jak mężczyźni. Wszyscy, dziesięć razy dookoła jeziora. Pierwszy, który przybiegnie z powrotem — tu wyciągnął swojego iPhone'a — dostaje w nagrodę dziesięć minut Angry Birds. Ruszajcie. Do biegu. Start.

Więksi chłopcy ruszyli jak konie wyścigowe. Mniejsze dzieci zanosły się płaczem.

Mark przez moment wydawał się całkowicie niewzruszony tą sceną.

— OK. No i dobrze — powiedział na koniec i ruszył w kierunku hotelu.

Archie, jeden z moich chrześniaków, lat trzy, stał z boku z gołym brzuszkiem i wyglądał naprawdę żałośnie z tą drżącą dolną wargą. Podeszłam do niego. Zarzucił mi ręce na szyję i wtedy poczułam, że coś szarpie mnie za włosy.

— Mój obciąg — wyjaśnił Archie.

— Twój co?? — zdumiałam się, sięgając dłonią do głowy.

O cholera! Do głowy przyczepiła mi się zabawka, lokomotywa parowa, której kółka wciąż się kręciły, wkręcając w siebie moje włosy.

— Przepraszam. Przepraszam. — Archie zanosił się już zupełnie niepohamowanym płaczem. — Mój Parowóz Tomek.

— W porządku, kochanie, już nie płacz — uspokajałam go, próbując równocześnie wyplątać pociąg z włosów.

— Audrona! — zawołała Magda. — Gdzie, w imię dupy, są nasze pierdolone nianie?

— Magda! Pociąg mi utknął we włosach!

Wokół nas zapanowało pandemonium, a tymczasem starsze dzieci wciąż pędziły jak szalone wokół jeziora. W końcu nianie się znalazły i zabrały młodsze dzieci na górę. Starsi wrócili wyczerpani z biegu, ale ewidentnie mieli dość sił na iPhone'a Marka, bo zaraz go oblegli. Niełatwy był to widok dla moich oczu — Mark Darcy wymuszający szacunek, mimo iż nawet nieszczególnie się stara.

Moje wspomnienia z pozostałej części tamtego wieczoru okazały się później — przez wzgląd na nieograniczoną podaż alkoholu — cokolwiek bezładne. Wydaje mi się, że tańczyłam. A później, w większej grupie, obejmującej też Marka, chyba staliśmy na tarasie, chwiejnie podpierając ściany.

— Zmulona elektronika — mamrotała Magda. — Zmulony Zac i jego zmuleni przyjaciele.

— To by się nigdy nie wydarzyło, gdybyśmy go posłali do prywatnej szkoły — powiedział Jeremy, rzucając spojrzenie w kierunku baru, skąd mrugnęła do niego „ta kobieta”.

— Do szkoły z internatem? On ma siedem lat, kutafonie — zareplikowała Magda.

— No. To jjesst ochrutne. Zmulone barrrbaarzyństwo — zgodziłam się.

— W wieku siedmiu lat poszedłem do prywatnej szkoły — znienacka oznajmił Mark.

— No i zobacz, czym się to dla ciebie skończyło — podsumowała Magda.

Czując się jak ryba, którą może zaraz wyrzucić na brzeg — skojarzenie to zapewne było skutkiem pobliskiej aranżacji wodnej — chwiejnie zesłam po schodkach do ogrodu, po drodze omalże nie skręciwszy sobie kostki, a potem usiadłam na ławce, z widokiem na jezioro zalane księżycową poświatą.

— I co? Okrutne, powiadasz? — z tyłu dobiegł mnie głos Marka.

— Tak, okrutne porzucenie — odparłam, a serce biło mi jak szalone.

— Nie sądzisz, że to dla nich lepiej, jak wyrobią w sobie odrobinę dyscypliny, kręgosłupa moralnego i zaznąją rywalizacji?

— Bardzo dobrze, pod warunkiem że jest się wysokim samcem alfa, który jest dobry we wszystkim, ale co z tymi tłuściutkimi, zagubionymi i nienormalnymi? Kto na nie czeka wieczorami w domu, żeby powiedzieć, jakie są niezwykle...?

Mark usiadł obok mnie.

— ...i jak bardzo je kocha — powiedział z prostotą — takimi, jakie są?

Spuściłam wzrok, równocześnie próbując wziąć się w garść.

— Masz pociąg we włosach.

— Zdaję sobie sprawę.

Wyciągnął rękę i jednym zgrabnym ruchem zdjął mi z głowy lokomotywę.

— Masz tam jeszcze coś? Co to jest... ciastko?

Stary, słodki, kompetentny Mark. Miałam ochotę go pocałować.

— Minęło trochę czasu, co? — zapytał.

— Tak. Mówiłeś, że jak masz na imię?

— Nie wiem.

— Ja też nie — oznajmiłam.

— Znam cię od czterdziestu lat i zupełnie zapomniałem, jak masz na imię.

Zaśmialiśmy się — stary dowcip taty z czasów Grafton Underwood.

A kiedy Mark obdarzył mnie głębokim spojrzeniem tych swoich piwnych, smutnych oczu, zadałam sobie pytanie: „Co w takiej sytuacji zrobiłby Dalajlama?”.

Rzuciliśmy się na siebie niczym dwie bestie spuszczone ze smyczy i tak to trwało w moim pokoju hotelowym aż do rana.

25 CZERWCA, NIEDZIELA

Rankiem wzajemna ochota na siebie wciąż nam nie przeszła, ale ostatecznie przeważyła ochota na jedzenie. Za nic nie można się było dodzwonić do room service’u.

— Załatwię coś z bufetu — oświadczył Mark, zapinając koszulę.
— Nie waż się stąd ruszać.

Chwilę po tym, jak wyszedł, usłyszałam dobiegający z korytarza męski głos — wyraźnie ktoś się z nim witał. Rozmowa trwała, z każdą chwilą stając się coraz ostrzejsza, po czym znienacka się skończyła. Dziwne.

Postanowiłam się nie przejmować, sennie opatuliłam się kołdrą i wciąż jeszcze pijana od seksu smakowałam wspomnienia z nocy, w oczekiwaniu na powrót Marka przyjemnie moszcząc swoje ciało.

W pewnym momencie drzwi się otworzyły i Mark wszedł do środka z tacą zastawioną sokiem pomarańczowym, kawą i croissantami z czekoladą.

— Mmmm, dzięki, wracaj do łóżka — powiedziałam.

Ale on tylko postawił tacę i stał nieruchomo.

— O co chodzi?

Przestał się przechadzać w tę i we w tę po pokoju.

— To był błąd — oznajmił.

Myśli zawirowały mi pod czaszką: groza, przekleństwo, ból, ja miękka i podatna w nocnej koszulce, a on w garniturze. Tylko nie to. Tylko nie namiętność i intymność, za którą w jednej chwili przychodzi ból i odrzucenie. A przynajmniej nie w koszuli nocnej.

— Nie zastanowiłem się. Poniosły mnie emocje, radość, że znowu cię widzę. Za dużo wypilem. Oboje wypiliśmy za dużo. Ale nie możemy tego kontynuować.

— Kontynuacja? Ciekawa nazwa na bzykanie.

— Bridget — powiedział, siadając na skraju łóżka. — Ja nie mogę. Niedawno wziąłem rozwód. Na obecnym etapie mojego życia nie jestem w odpowiednim stanie emocjonalnym, żeby myśleć o związku.

— Ale ja cię o nic takiego nie proszę.

— Rozumiem, ale sama kwestia jest jak najbardziej obecna,

niezależnie od tego, czy wypowiedziana, czy nie. W twoim wieku...
zwyczajnie nie mogę... to nie byłoby właściwe z mojej strony... Po
prostu nie chcę ci zabierać nic z tych lat, w trakcie których wciąż jeszcze
możesz mieć dziecko.

19.00. W domu. O Boże. Boże. Naprawdę wyczerpałam swój
seksualny termin przydatności do spożycia. Nie pociągam już mężczyzn,
ponieważ jestem pomarszczoną, jałową skorupą.

19.01. Jestem toksyczna. Rozsiewam wokół odstraszaające
mężczyzn promieniowanie.

19.02. A tam! Nie mogę pozwolić, żeby problemy emocjonalne
wpływały na moje życie zawodowe. Jestem profesjonalną producentką,
dlatego po prostu zacznę robić multitasking i zaangażuję podzielność
myślenia, nawet jeżeli po upojnej nocy zostałam porzucona przez miłość
mojego... tak czy siak, mężczyźni przestają mnie obchodzić. Skupię się
na pracy.

19.03. Kobieta dobiegająca czterdziestki, która nie ma dzieci, jest
w najtrudniejszym dla siebie okresie. To jest perwersja biologii, z którą
ludzkość na pewno da sobie radę w najbliższych latach. Póki co, to
czysta udręka, ponieważ zegar tyka coraz głośniejsze, mężczyźni
wyczuwają wewnętrzną panikę i zmykają gdzie pieprz rośnie,
a najgorsze jest poczucie uciekającego czasu — nawet gdyby się TERAZ
kogoś poznało, i tak nie starczy czasu, żeby związek rozwijał się
w naturalny sposób i żeby w naturalny sposób na świecie pojawiło się
dziecko.

19.05. Dzieci: fe! Jestem wysokiej klasy profesjonalistką, każda
kobieta ma swoje potrzeby, moje zaspokajają związki przystające
dorosłym ludziom, związki niemalże francuskie w swej elegancji.

TRZY

Mężczyźni są jak autobusy

26 CZERWCA, PONIEDZIAŁEK

18.00. Studio *Sit Up Britain*.

— Daj już z tym spokój — powiedziała Miranda. Siedziała w studiu otoczona kamerami i wielkimi ekranami, nieskazitelna jak zawsze w fotelu prowadzącej, podczas gdy ja panowałam nad TYM WSZYSTKIM z oddzielonej od studia szybą reżyserki na górze i mówiłam do niej przez słuchawki.

— Trzydzieści sekund do wejścia na antenę — oznajmił Julian, kierownik planu.

— Wciąż nie mogę uwierzyć, że był w stanie tak sobie pójść, a przedtem uznał, że chodzi mi tylko o związek i dzieci — szepnęłam do słuchawek Mirandy. — Czuję się taka żalсна.

— O czym ty gadasz? — zdziwiła się Miranda, gdy tymczasem dźwiękowiec przypiął jej mikrofon do bluzki.

— DZIESIĘĆ, dziewięć, OSIEM, siedem — zaczął odliczanie Julian, kierownik planu.

— To jest *Sit Up Britain*, a nie wiktoriańska Anglia — powiedziała Miranda. — Przespałaś się ze swoim eks. I co z tego?

Ups! Miranda, dla samej siebie niewidzialna, pojawiła się na wielkich ekranach studia, a po prawdzie to całego kraju.

— A poza tym pieprzenie się ze swoim eks się nie liczy.

— Przepraszam, nie dosłyszałem, tak, jesteśmy na wizji — wtrącił się Julian, kierownik planu.

BIM-BAM — odezwał się temat z czołówki, natarczywy motyw *presto* w stylu tych, jakie zazwyczaj towarzyszą wiadomościom, który miał w maluczkim widzu *Sit Up Britain* wywołać wrażenie, że on też jest żarliwym odbiorcą wiadomości, w owczym pędzie przemierzającym punkty zapalne na całym świecie, podczas gdy tak naprawdę o tej godzinie wszyscy już tylko objali się w biurach i gadali o seksie.

— Suto zakrapiana impreza! — zaćwierkała Miranda z lekka spanikowana, ale zaraz weszła w dziarski ton prezenterki wiadomości.

— Czy to nowe poważne zagrożenie dla naszych młodych dziewczyn, czy po prostu dobra oldskulowa zabawa?

BIM-BAM. Migawka z pijanymi dziewczynami wytaczającymi się

z pubu.

— Myślisz, że to dlatego, że jestem w określonym wieku? — wyszeptałam Mirandzie do słuchawki.

— Nie, to dlatego, że on jest opóźniony emocjonalnie! — odpowiedziała Miranda, rozbłyskując znów na ekranach całego narodu. — A teraz sir Anthony Hopkins...

— ...poszerza swój wciąż poszerzający się repertuar — myśląc w biegu, przekazałam Mirandzie na słuchawki.

— ...poszerza swój wciąż poszerzający się repertuar — powtórzyła Miranda, podczas gdy na migawce widać było ewidentnie pusty fotel, z którego Anthony Hopkins miał w tym momencie powiedzieć: „Witam!”.

— ...obejmując nim całe spektrum aktorskich emocji — skończyłam, improwizując rozpaczliwie za nią.

— ...obejmując nim CAŁE SPEKTRUM aktorskich emocji — powiedziała Miranda do kamery.

BIM-BAM.

— I na koniec: Co czyni mężczyzn gejami? Nowe odkrycia wskazują na warunki panujące w macicy.

— Albo raczej, co czyni debilów debilami — podsumowała Miranda, osuwając się na oparcie krzesła, w przekonaniu, że klip ruszył, co nie było prawdą.

— Bridget! Miranda! — Do reżyserki wpadł Richard Finch, mój szef od dawien dawna. — Mówiłem wam, żebyście nie gadały pomiędzy pieprzonymi dżinglami. To jest jakiś pierdolony burdel kompletny, a poza tym, gdzie jest Anthony Hopkins?

Zdjęło mnie przerażenie.

— Cholera! Gdzie on jest? Gdzie jest Anthony Hopkins? — Klip z wiadomościami dobiegał właśnie końca, a nigdzie nie było Anthony'ego Hopkinsa.

— Anthony Hopkins ma za chwilę siedzieć w foteliku — warknęłam na kanale łączącym mnie z Julianem, kierownikiem planu.

— A teraz, prosto z planu, nasz następny gość... — zaczęła błyskotliwie Miranda.

— Lej wodę, Miranda, lej wodę... — syknęłam.

W tej samej chwili zobaczyłam Anthony’ego Hopkinsa: siwowłosy, w szarym garniturze, błąkał się bezradnie po studiu.

— Julian, on tu jest, kamera w lewo, to znaczy w prawo, nieważne, tam za fotelem.

— Król naszych serc... — ciągnęła dalej Miranda.

— Dawajcie go na fotel. Dawajcie pieprzonego Anthony’ego Hopkinsa na fotel! — rzuciłam, jakbym była wściekłą samicą alfa, wiezioną taksówką do celu, do którego wcale nie chciała jechać.

— Nasz narodowy skarb — Miranda improwizowała jak szalona. — Laureat Oscara, ludożerca...

Kierownik planu popychał Anthony’ego Hopkinsa w stronę fotela, a dźwiękowiec przypinał mu mikrofon.

— Nasz narodowy skarb, co należy przypominać w nieskończoność, aktor, chluba naszych scenicznych tradycji, sir Anthony...

To nie był Anthony Hopkins.

— Hopkins! Sir Anthony! — oznajmiła radośnie Miranda, choć ewidentnie to nie był on. — Czy silna identyfikacja z rolą Hannibala Lectera nie stanowiła przeszkody dla rozwoju pańskiej kariery aktorskiej?

— Zaproszono mnie tu po to, abym mówił o ekspresji gejowskiego genu w środowisku macicy — oświadczył jej gość, a tymczasem w studiu za plecami Mirandy zmaterializował się sir Anthony Hopkins z jedną z tych ludożerczych min Hannibala Lectera na twarzy.

Po wszystkim, kiedy Miranda osunęła się już obok mnie na krzesło w reżyserce ze słowami: „Jezu, komu trzeba tu dać dupy, żeby dostać mojito?”, do środka wparował Richard Finch, obrzucił mnie swoim charakterystycznym spojrzeniem i oznajmił:

— Bridget! Miranda! To jest Peri Campos, nasza nowa kontroler od zasobów sieciowych. — Gestem wskazał kobietę, stojącą za nim na wysokich obcasach. — A to zespół analityków systemowych, którzy obserwowali nasz dzisiejszy show.

Cała gromadka wcisnęła się do niewielkiej reżyserki.

— I jeszcze będą to robić przez następne cztery tygodnie, w ramach programu optymalizacji redukcji personelu — dokończyła Peri

Campos, która z bliska okazała się osobą strasznie młodą, ubraną w coś, co nasuwało skojarzenia z pełnym, designerskim strojem BDSM, i którą otaczała męska młodzież z brodami i koczkami. — Czeka ją nas cięcia — kontynuowała. — Uwielbiam to słowo. Kojarzy mi się ze smakiem krwi na zębach.

19.00. Toaleta *Sit Up Britain*. Wyrzucą mnie i zastąpią młodzieżą z koczkami na głowach.

19.03. Ostatni raz w życiu poszłam z kimś do łóżka. To było bzykanie z litości.

19.04. Jestem jak te nauczycielki, które pamiętam ze szkoły: wiecznie samotne, przysypane grubo białym pudrem, z czerwoną pomadką na ustach, do których zwracaliśmy się „panno” jakoś tam i które zdawały nam się starożytnymi przybyszami z kosmosu. Teraz stałam się jak one... No świetnie! Telefon!

19.10. Dzwonił Tom.

— Więc o której będziesz na rozdaniu Archer-Biro?

Myśli zaczęły krążyć jak szalone.

— Bridget? BRIDGET?

— Nie mogę iść — oświadczyłam strasznym, grobowym głosem.

— Na rozdanie Archer-Biro.

— Och, do kurwy nędzy, kochanie. Nie możesz wciąż lamentować po Marku Darcym. Jesteś promienną boginią seksu o magicznych mocach, a on tylko sztywnym seryjnym bigamistą i nudziarzem urodzonym z pogrzebaczem w dupie. Widzimy się w Skybar za dwadzieścia minut. Czas puścić się wreszcie z kimś innym, laska.

20.00. Bankside Ballroom, South London. Pędziłyśmy po schodach na imprezę, Shazzer jak obłąkana pomstowała na pełnym autopilocie.

— Kutaaaaaasy!

Potem krótka wymiana zdań z czarno odzianymi dwudziestoparoletnimi niuniami pilnującymi listy gości. Shazzer musiała im wyjaśnić, że nawet mowy nie ma o tym, aby Toma nie wpuszczono z tego tylko powodu, iż nie ma go na liście, że jak się po mediach społecznościowych rozniesie HOMOFobia Archer-Biro, to NIE będzie to wyglądało najlepiej itd., itd.

Przerażone dwudziestoparoletnie niunie przepuściły nas bez dalszych wstrętów, a Shazzer pomstowała dalej, gdy wędrowaliśmy następnymi schodami.

— Jak on śmiał cię bzyknąć na chrzcinach, a potem ZNIKNAĆ? Przecież to jakieś emocjonalne zatwardzenie, dziwkarz jeden i pijak...

— Przywiązanie pozbawione poczucia bezpieczeństwa — dodał Tom, który obecnie jest (nie ma się co śmiać) psychoterapeutą.

— Zadufany jebnięty kutas! — wrzasnęła Shazzer na całe gardło w momencie, gdy wpadliśmy do środka, gdzie zebrał się literacki Londyn *en masse* ze swoim winem w plastikowych kubeczkach i plastikowymi talerzykami wypełnionymi po brzegi bliżej nieokreślonym jedzeniem. Na scenie stały rzędem nominowane do nagrody pisarki, reprezentujące całe spektrum narodów: tu batikowa chusta na głowie, tam gwatemalska szata, jeszcze gdzie indziej pełna burka.

— Ciii! — Tylny rząd literatów odwrócił się w naszą stronę, wstrząśnięty do głębi, i w tej samej chwili przewodnicząca komisji w lśniącej sukni jakby wprost z ceremonii rozdania Oscarów wzięła do ręki mikrofon.

— Panie i... nie wolno nam o nich zapomnieć... panowie!

Urwała, robiąc przerwę na — szczerze mówiąc, dość słabe — śmiechy widowni.

— Witamy na ceremonii wręczenia nagrody Archer-Biro w dziedzinie literatury kobiecej, to już piętnasta odsłona tej wspaniałej imprezy! Celem ustanowienia Archer-Biro była, ogólnie rzecz biorąc, lecz w sensie jak najbardziej decydującym, zwycięska wojna z *chick litem*.

— Jestem już na to za stara — jęknęłam.

— Oraz promowanie poważnej, antypatriarchalnej...

Oparłam się na ramieniu Shazzer.

— Nikt już nie pójdzie ze mną do łóżka, nigdy, nigdy, nigdy.

— Doniosłej, przemawiającej silnym głosem...

— Ostatnie bzykanie, sranie w banie!

— Głoszącej intuicyjny, kobiecy imperatyw...

— Nim minie noc, wpakujemy cię komuś do łóżka — obiecała

Miranda.

— ZAMKNIJCIE SIĘ, dziewczyny — syknęła Jung Chan, która okupowała bar.

— OK, sorki — odmruknęłam, a potem poczułam muśnięcie czyjejs dłoni na tyłku. Zamarłam, potem obejrzałam się za siebie i zobaczyłam znajomą postać, rozplywającą się w tłumie.

— A teraz, przechodząc już do samej nagrody, chciałabym powitać na scenie znanego nam wszystkim z telewizji, byłego prezesa wydawnictwa Pergamon Press oraz... jak podpowiedział mi mały ptaszek... POWIEŚCIOPISARZA *in statu nascendi!* Daniel Cleaver!

Grrrrrrrr!

— Co on tu robi? — zdziwił się Tom. — Myślałem, że bawi w Transylwanii z Księżniczką Disneya z Kurwilandu.

— Panie i panowie, Archer-Biro — zaczął Daniel, a skóra na jego twarzy była naciągnięta i błyszcząca jak u wziętego polityka po operacji plastycznej. — Wprost nie potrafię wyrazić, jak podniecający to dla mnie zaszczyt znaleźć się tutaj wśród prześwietnych zastępów naszych pań finalistek; czuję się tak, jakbym zawędrował na jakieś alternatywne wybory Miss Świata.

Odruchowo się skrzywiłam, wstydząc się za niego i czekając na wściekłe okrzyki publiczności, ta jednak zareagowała pomrukami rozbawienia.

— Ach, czyż nie jest nieznośny? — powiedziała Pat Barker, odwracając się w naszą stronę i marszcząc z rozbawieniem nos.

— Szczerze mówiąc, to czekam przede wszystkim na prezentację w strojach kąpielowych — kontynuował Daniel.

Jego słowom towarzyszyły wybuchy śmiechu.

— Rzecz jasna, znacznie więcej czasu zabrało mi nauczenie się, jak wymawiać nazwiska naszych finalistek, niż zapoznanie się z dziełami ich wyjątkowego geniuszu. W tej poślacanej kopercie bąbelkowej mam nazwisko zwyciężczyni, która pokonała swe konkurentki z ręką w... no, bezkonkurencyjnie.

Silne kobiece głosy w literaturze skręcały się już ze śmiechu.

— A teraz, z drżącymi rękoma, niepomiernie wdzięczny Trinity College w Cambridge za wstępną przynajmniej orientację w języku

praindoeuropejskim, ogłaszam, że nagrodę zdobyła...

Przez czas jakiś demonstracyjnie udawał, że zмага się z kopertą.

— Tak, to jak próba wyciągnięcia prezerwatywy z opakowania i w sumie... Och! Moje drogie! Najdroższe czytelniczki i finalistki! Nagroda przyznana została *ex aequo*! Omaguli Qulawe za *Dźwięk ponadczasowych łez* i Angeli Binks za *Bezdźwięczne łzy czasu*.

Gdy tylko przemowy dobiegły końca, Daniela obległa wataha młodych, olśniewających publicystek, a ja schowałam się w toalecie, żeby tam dość do siebie.

— Nawet nie próbuj iść tą drogą — przestrzegł mnie Tom, kiedy przeprosiłam i wstałam od stołu. — Jeszcze kilka lat i cała władza przejdzie w ręce kobiet. Bycie palantem to luksus, na który trudno sobie pozwolić, kiedy wypadają ci włosy, a brzuch wylewa się zza paska.

W toalecie załamalam się całkiem, a potem w przekonaniu, że wyglądam, jakbym miała sto lat, zaczęłam jak obłąkana się malować i wtedy w drzwiach pojawiła się głowa Toma, który powiedział:

— Przestań już, kochanie, bo będziesz wyglądała jak Barbara Cartland.

Wreszcie jakoś udało mi się wyjść z toalety, a na korytarzu czekał już na mnie Daniel.

— Jones, cudowna istoto! — krzyknął z zachwytem w głosie. — Wyglądasz na młodszą i jeszcze ładniejszą niż przed pięcioma laty, kiedy cię ostatni raz widziałem. Nie, poważnie, Jones, nie wiedziałbym, czy brać z tobą ślub, czy cię adoptować.

— Daniel! — zawołał Julian Barnes, podchodząc do nas z tym swoim uśmiechem zaciśniętych ust.

— Julian! Znasz może moją młodą kuzynkę, Bridget Jones?

21.00. Znowu w toalecie, retuszuję mą młodzieńczą urodę za pomocą różu. Zmulona impreza, ale w sumie niezła. Z Danielem sprawa polega na tym, że jest naprawdę czarujący i dzięki niemu nie czuję się już stara.

O co w sumie, moim zdaniem, chodziło w całej tej imprezie wręczenia nagród Archer-Biro — żeby nie pozwolić sobie na uczucia, które wywołuje w nas mężczyzna.

— Do dzieła, dziewczyno — powiedział Tom, podając mi drinka,

gdy po raz kolejny wróciłam z toalety. — Dosiądź znów tego konia.

22.00. Daniel i ja, napici jak bąki, zataczaliśmy się z lekka w tłumie pijanych gości wylewających się z lokalu.

— Powiesz mi, co się stało z księżniczką? — zapytałam.

— Och, koniec z nią, koniec. W sumie to szkoda. Jak tak o sobie myślę, to byłbym chyba niezłym królem: okrutnym, lecz kochanym.

— Ojjoj. Co poszło nie tak?

— Doskonałość mi dojadła, Jones. Noc w noc te same lśniące włosy rozsypane na poduszce. Te same regularne rysy skrzeplę w ekstazie. Czuję się, jakbym każdy akt seksualny odgrywał przed obiektywem kamery cyfrowej. Z tobą, Jones, jest zupełnie na odwrót, jesteś jak ta tajemnicza paczka w dziwnym kształcie, która pojawia się w wigilijny poranek, nie wiadomo skąd, trochę nie na miejscu, ale...

— ...ale do której zawsze masz ochotę się dobrać. Cóż, dzięki, Daniel. Miło było się znowu spotkać! Chyba wezmę taksówkę.

— To miał być komplement, Jones! Poza tym, po pierwsze, nie ma żadnych taksówek, a po drugie, gdyby nawet były, musiałybyś walczyć o nie z całą bandą innych gigantów sceny literackiej, z których każdy miałby wielką brodę i wąsy.

Spróbowałam wezwać minicab, ale w telefonie słyszałam tylko głos z taśmy:

— Wszystkie pojazdy, jakie oddaliśmy do dyspozycji naszych klientów, są obecnie zajęte ze względu na niespodziewanie wydłużony czas oczekiwania w tej lokalizacji.

— Słuchaj — powiedział Daniel — mieszkam trzy minuty pieszo stąd. Chodźmy do mnie, a potem odwiozę cię do domu. Chociaż tyle mogę dla ciebie zrobić.

Przyglądałam się, jak Annie Proulx i Pat Barker biorą ostatnią wolną taksówkę, a Jung Chan zasada się na następną.

22.30. Mieszkanie Daniela. Stałam w znajomej designerskiej garsonierze-bzykanierze z oknami wychodzącymi na Tamizę. Wszystkie radiotaxi wciąż miały „nieoczekiwane opóźnienia w realizacji usług”.

— Widziałaś się z Darcym po jego powrocie? — zapytał Daniel, podając mi kieliszek szampana. — Który nastąpił w atmosferze emocjonalnej niesławy i klęski? Nic dziwnego, jak na faceta, którego

codziennie rano zaskakuje w lustrze całkowicie obcy człowiek. On płakał po seksie? Czy przed? A może w trakcie? Już nie pamiętam.

— Dobra, Daniel, dość tego — powiedziałam urażona. — Nie przyszłam do ciebie, żeby wysłuchiwać litanii zdecydowanie mało pozytywnych, złych karmicznych wibracji na temat kogoś, kto...

Nagle Daniel pocałował mnie w usta. O Boże, jak on świetnie całował.

— Nie, nie, nie powinniśmy — zaprotestowałam słabym głosem.

— Tak, tak, powinniśmy. Wiesz, czego ludzie najbardziej żałują przed samą śmiercią? Nie tego, że nie udało im się uratować świata ani wspiąć na szczyt swej kariery, ale tego, że za mało uprawiali seksu.

27 CZERWCA, WTOREK

20.00. W domu. Siedzę i psychopatycznie się wgapiam w telefon. Wciąż żaden się nie odezwał. Tak ma to wyglądać aż do końca mojego życia? Że będę się upijała sherry z Markiem i Danielem, grając z nimi w domino w domu starców, a potem się wściekała, bo mnie bzyknęli i nie zaprosili na scrabble?

20.05. Nie potrafię uwierzyć, że mając tyle lat, wciąż tak samo zachowuję się po seksie — jakbym zdawała jakiś egzamin, a potem czekała na wyniki. Lepiej zadzwonię do Shazzer.

20.15.

— Z eks się nie liczy — poinformowała mnie Shazzer.

— Dokładnie to samo powiedziała Miranda! Ale dlaczego?

— Ponieważ związek z nim już zdążyłaś speprzyć.

— A więc z góry wiadomo, że się nie sprawdziłam?

20.30. Rezygnuję z mężczyzn. Będę się ich wystrzegać.

CZTERY

Premenopauza

Trzy miesiące później

17 WRZEŚNIA, NIEDZIELA

22.00. W domu. To wszystko to jeden wielki koszmar. Chcę powiedzieć, że po prostu nie mogę uwierzyć... No świetnie! Dzwonek do drzwi.

23.00. Przyszli Shazzer, Tom i Miranda; zwałili mi się do środka, byli kompletnie skuci.

— Kochanie! Ty żyjesz! — ucieszył się Tom.

— Co się z tobą odpierdala? — dociekała Shazzer.

— O co wam chodzi?

— Przez cały weekend nie odpowiadałaś na telefony, esemesy, maile, na nic. Wpadłaś w totalną techno-purdę.

— Co ona tam gugluje?

Podbiegłam szybko i wyrwałam im laptopa z rąk.

— Premenopauza! Od siedmiu godzin guglowała premenopauzę. Zarejestrowała się na uderzeniagoraca.com.

— U niektórych kobiet premenopauza może wystąpić już w wieku trzydziestu pięciu lat — zaczęłam trajkotać. — W niedalekiej przyszłości wszystkie kobiety będą automatycznie zamrażać swoje jajeczka, robić kariery, potem je rozmrażać, no tak rach-ciach i po wszystkim, ale...

— Dlaczego uważasz, że masz premenopauzę?

Zawstydzona, wodziłam po nich wzrokiem.

— Zaczęłaś nieregularnie miesiączkować? — zapytała Shazzer.

Pokiwałam głową, czując, że zaraz się rozpłaczę.

— W ogóle już ich nie mam, a poza tym dostałam tuszy wieku średniego. Słuchajcie, jeansy muszę już kupować o numer większe.

Zaświeciłam im w oczy swoim brzuchem. Jednak zamiast przyjrzeć się ze współczuciem, popatrzyli po sobie.

— Hm, Bridget — zaczął Tom. — Tak sobie tylko, hm, pomyślałem, nie bierz tego do siebie, to tylko takie luźne skojarzenie, ale...

— Ale zrobiłaś sobie test ciążowy? — zapytała Shazzer.

Nogi się pode mną ugięły. Jak ona może być taka okrutna?

— Mówiłam wam: jestem bezpłodna — wyjaśniłam. — Nie mogę zająć w ciążę, ponieważ mam premenopauzę, a tym samym nie mogę już

mieć dzieci.

Miranda miała taką minę, jakby z całej siły powstrzymywała wybuch śmiechu.

— A pamiętasz te letnie zabawy w stylu „z eks to się nie liczy”? Z Markiem, z Danielem? Używałaś prezerwatyw?

To już się powoli robiło nieznośne.

— A żebyś wiedziała! — powiedziałam, czując w tej chwili już tylko ogarniającą mnie powoli złość. — Oczywiście, że używałam prezerwatyw. — Wzięłam do ręki torebkę i wyjęłam paczkę. — Tych prezerwatyw.

Podawali sobie z ręki do ręki paczkę, jakby to był materiał dowodowy z *Kryminalnych zagadek Miami*.

— Bridget — powiedziała wreszcie Shazzer. — To są ekologiczne prezerwatywy, przyjazne delfinom, i dwa lata temu upłynął ich termin przydatności.

— I co z tego? — warknęłam. — Przecież wszyscy wiemy, że terminy przydatności są tylko po to, aby sprzedawać więcej towaru, nie? Nie mają nic wspólnego z rzeczywistością.

— Cała ta sprawa z produktami przyjaznymi delfinom polega na tym, że z czasem się rozpuszczają — wyjaśniła Miranda.

— Posłuchaj — oznajmiła Shazzer, wstając i wkładając płaszcz — nigdy, kurwa, nie zadzieraj z pierdolonymi delfinami. Zbieramy się, kurwa, do najbliższej nocnej apteki.

Kiedy jechaliśmy do nocnej apteki, czułam się, jakbym przemierzała cmentarzysko moich płodnych lat — oto drzewo, pod którym Daniel zerwał mi majtki z tyłka po wigilijnym przyjęciu w Pergamon Press, tam róg, na którym pierwszy raz całowaliśmy się z Markiem w śniegu, a tu z kolei drzwi, pod którymi Mark Darcy po raz pierwszy powiedział: „Kocham cię taką, jaka jesteś”.

Ledwie znaleźliśmy się z powrotem w mieszkaniu, a Shazzer już waliła w drzwi łazienki.

— Oni tu piszą, że trzeba odczekać dwie minuty, OK? — zaprotestowałam.

— A co, jeśli jest w ciąży z nimi dwoma? I będzie miała bliźniaki? — usłyszałam sceniczny szept Toma.

— Tak się nie da — odpowiedziała mu Miranda pijackim sykiem.
— Pierwsza sperma tłamsi drugą, czy coś w tym rodzaju.

— A w przypadku, gdy rodzi się jedno białe bliźnię, a drugie czarne?

— Różne jajeczka, ta sama sperma.

Nie tak sobie wyobrażałam tę chwilę. Myślałam, że będę siedziała z arcymęską miłością mojego życia w odnowionym domu w Cotswolds z podłogami z impregnowanego betonu i kudłatymi dywanikami, we wnętrzu zaprojektowanym może nawet przez Jade Jagger.

— Bredzisz kompletnie bez sensu. Kobieta nie może mieć jednego jajeczka czarnego, a drugiego białego — warknęła Shazzer.

— Wszystkie są nakrapiane? — podsunął Tom w momencie, gdy wychodziłam z łazienki.

— Patrzcie, ma w ręku tester.

— Daj mi to.

Shazzer i Tom rzucili się na mnie, wydzierając mi tester z ręki. Przez chwilę wirował w powietrzu, w końcu wylądował na dywanie. Unisono, w zdumieniu wbiliśmy w niego wzrok. W maleńkim okienku widać było niewątpliwie niebieską kreskę.

— Nie możesz być...

— ...trochę w ciąży — dokończył Tom.

— Nie. Samo. Wite — powiedziała Miranda.

Sama nie potrafiłam uwierzyć.

— Ale przecież ona cały czas piła i paliła.

— O mój Boże, masz rację: zabiła dziecko.

— Dziecko nie żyje.

— I ona nie wie, kto jest ojcem.

— Co teraz zrobimy?

Ale to wszystko nie miało już dla mnie znaczenia. Zdawało mi się, że wokół ryczą trąby i dźwięczą harfy. Rozstępowały się chmury, przez które przedzierały się promienie słońca, a drobne ptactwo kwiliło radośnie. Będę miała dziecko.

PIĘĆ

Kto to zrobił?

26 września, wtorek

9.00. Gabinet ginekologiczny, Londyn.

— No dobrze, a jak pani myśli, za którym razem mogłam zajść w ciążę? — zapytałam z nadzieją.

— A jakie to ma znaczenie? — odparła dr Rawlings, sroga kobieta, która podchodziła do wszystkiego szalenie rzeczowo i kompletnie bez poczucia humoru.

— Ogromne! Taka wyjątkowa chwila! Chcielibyśmy wiedzieć, żeby potem móc świętować ten dzień.

— Cóż, nie mogę pomóc. Będziecie musieli świętować obie okazje.

— Ale da się chyba powiedzieć, kiedy to było bardziej prawdopodobne?

— Jeśli już o to chodzi, to pierwsza data jest trochę zbyt wczesna, a druga zbyt późna. Jest pani pewna, że w międzyczasie nie było żadnych innych „okazji do świętowania”?

— Jestem zdecydowanie pewna, zapewniam panią — odparłam, wyraźnie akcentując słowa. — Ale gdyby tak miała pani wybrać jedną z tych chwil, która by to była?

— Nie mam pojęcia, obie wydają się równie możliwe.

— No to niech pani chociaż zgadnie...

— Nie.

— A gdyby tak pani udawała, że stawia pani na to pieniądze, jak na konia?

— Nie.

— A co z USG?

— Między dziesiątym a trzynastym tygodniem, pani jest w trzynastym.

— USG nie pokaże, kiedy doszło do zapłodnienia?

— Nie. Proszę, tu jest numer, pod który ma pani zadzwonić, żeby umówić się na USG — powiedziała, wstając. — I pozwolę sobie wyrazić nadzieję, że tatuś również się pojawi?

A potem usłyszałam wyraźnie, jak mruknęła pod nosem:

— Pod warunkiem, że da się stwierdzić, który to.

— Jeszcze jedna rzecz, tak z czystej ciekawości... — wyrwało mi się zniecka.

— Taaaak?

— Co zrobić, gdy ma się wątpliwości co do tego, kto jest ojcem...

— Potrzebne są próbki od tych panów: krew, włosy, paznokcie, zęby.

— Zęby?

— Nie, nie żadne zęby, Bridget — oznajmiła zmęczonym głosem.

— Włosy, paznokcie, krew, ślina: wszystko to nada się znacznie lepiej niż zęby.

— A gdyby komuś przyszło do głowy pobrać DNA dziecka?

— Potrzebna będzie amniopunkcja. Co w ogóle jest chyba dobrym pomysłem, mając na względzie, że jest pani geriatryczną matką.

— GERIATRYCZNA MATKĄ?

— Tak. Od trzydziestego szóstego roku życia jest pani, ujmując rzecz technicznie, geriatryczną matką.

5 PAŹDZIERNIKA, CZWARTEK

— Skup się na jaśniejszych stronach całej sprawy — tłumaczył mi Tom, gdy razem z Shaz i Magdą odprowadzali mnie na amniopunkcję.

— Równocześnie będziesz mogła odbierać i emeryturę, i dodatek na dziecko.

— To jest takie stresujące! — Magda wyraźnie się zapowietrzyła. — Bridget, nie możesz mieć dziecka bez ojca. Jednego ojca.

— Nieprawda, Magda, mogę jak najbardziej — odparłam i nagle dostałam odruchu wymiotnego.

— Kochanie, jak jeszcze moglibyśmy ci pomóc? — zapytał Tom.

— Dzięki, Tom. Możesz mi gdzieś zdobyć pieczonego ziemniaka? Och, i jeszcze czekoladowego croissanta i jakiś bekon? Boję się, nie chcę, żeby mi wbijano do środka wielką igłę.

— Słuchaj, ta cała operacja jest tak czy siak zupełnie niepotrzebna — wtrąciła Shaz. — Jeżeli będzie cię za sobą ciągnął w stronę wszystkich atrakcyjnych kobiet na ulicy, to będzie dzieciak Daniela. A jeżeli będzie się zachowywał, jakby miał pogrzebacz w dupie, to będzie Marka Darcy'ego.

19.00. W domu. Właśnie wróciłam z nieba/ledwie unikniętego amnio-koszmaru.

— A więc z dzieckiem wszystko dobrze? — zapytałam, gdy tymczasem dr Rawlings jeździła mi po brzuchu ultrasonografem.

— Zdrowe jak koń. Nie martw się, nie jesteś pierwszą kobietą, która nie wiedziała, że jest w ciąży, i przez kilka pierwszych miesięcy folgowała sobie małymi drinkami. Proszę, sama zobacz.

Odwróciła ekran w moją stronę i to wystarczyło. Przepęłniła mnie miłość. Obraz był zamazany, ale widać było maleńką główkę, jak, jak... u dziecka. Mały człowiek wewnątrz mnie! Nos, usteczka, małe piąstki uniesione do góry! Najpiękniejsza rzecz, jaką w życiu widziałam.

— No, dobra! — oznajmiła dr Rawlings. Odwróciła się w moją stronę, trzymając w ręku gigantyczną igłę. W jednej chwili ogarnęło mnie wrażenie, że śnię jakiś koszmar. Igła miała gdzieś z trzydzieści centymetrów długości. — Czuję się zobowiązana poinformować cię, że amniopunkcja może skutkować ewentualnym ryzykiem w utrzymaniu

ciąży, zwłaszcza w twoim wieku, ale gdy zważy się pozytywne...

— Proszę się odsunąć! — wrzasnęłam, podrywając się ze stołu. —
Co tu się DZIEJE!?! Zwariowałaś? Chcesz mi ZAMORDOWAĆ
dziecko! Zadzgasz je jak Hamlet zza zasłony!

Ku swemu najgłębszemu zaskoczeniu opiekuńczym gestem
położyłam ręce na brzuchu, jak jedna z Dętych Mamusiek wtedy, na
chrzcinach.

— Chcesz położyć mi ręce na brzuchu? — zapytałam.

— Przed chwilą to zrobiłam, Bridget. Dzięki temu mogliśmy
zobaczyć śliczny obrazek twojego dzieciątka, pamiętasz? No, dobra,
bierzemy się za to czy nie?

— Nie, nie ma potrzeby — paplałam, zbierając swoje rzeczy. —
Żadnego ryzyka, żadnego DNA. Po prostu proszę się nie zbliżać do
mojego dziecka z tą igłą.

7 PAŹDZIERNIKA, SOBOTA

4824 kalorie. (Ale jestem w ciąży, nie? Więc świat żarcia to moja ostryga. Choć o ostrygach mogę zapomnieć, ponieważ najwyraźniej są toksyczne dla dziecka.) Grillowane bajgle: 3. (Potas, a może błonnik?) Ser: 20 dag. (Proteiny). (Tylko nie kozi — miękkie sery są toksyczne dla dziecka). Brokuły: 2 różyczki. (Znakomite Jedzenie Hybrydowe, ale ostatecznie nie mogę tego zaliczyć, ponieważ zwymiotowałam wszystko — dziecko nienawidzi brokułów). Ziemniaki zapiekane z serem: 3. (Dziecko uwielbia ziemniaki zapiekane z serem, a nienarodzone dzieci wyposażone są w instynktowną wiedzę odnośnie do tego, co im służy).

16.00. Właśnie wróciłam z zakupami dla dziecka. Przyniosłam do domu absolutnie urzekające brzoskwiniowe śpioszki i bandanę w kwiatki od I Love Gorgeous i zaraz rozłożyłam na łóżku, jakbym układała małą dziewczynkę. Przemknęło mi przez myśl, że może powinnam kupić sobie lalkę i na niej poćwiczyć ubieranie dziecka, ale zaraz zrozumiałam, że to byłby trochę dziwaczny pomysł. Jestem taka podniecona, ale równocześnie osobliwie rozleniwiona, śpiąca i zdekoncentrowana, jakbym się lekko upiła. Przede wszystkim muszę zadbać, żeby na razie nikt w pracy się nie dowiedział. Mamie też chyba jeszcze nic nie powiem. Poza tym muszę się wreszcie zastanowić, jak rozwikłać sprawę ojcostwa. Ostatecznie.

Ale przez chwilę będę myślała tylko o tym, jak się cudownie czuję. Będę miała dziecko!

SZEŚĆ

Powiedzieć prawdę

8 PAŹDZIERNIKA, NIEDZIELA

Południe. Electric Bar, Portobello Road.

— Musisz im powiedzieć, Bridget — stwierdziła Miranda.

Skinęłam głową, pociągając przez słomkę dietetyczny tonik. Mimo iż siedzieliśmy w Elektrycznym, mój popęd do alkoholu gdzieś się zniecka zapodział. Na samą myśl czułam lekką zgaę i mdłości, jakbym miała kaca, co samo w sobie było raczej dziwne, jeśli się nad tym zastanowić.

— Bridget!

— Co? — Aż podskoczyłam.

— Musisz tatusiom powiedzieć.

— A, tak, nie, dobra — zaplątałam się. — Powiem. Mogłabym dostać jeszcze trochę chipsów? Chcecie dotknąć mojego brzucha?

Obowiązkowo, choć z lekkim znużeniem, po kolei pomacali mój brzuch.

— Zaczynij od Daniela — poradził Tom. — Żeby przeciwżyć całą sprawę.

— Zaraz do niego napisz — dodała Miranda.

— Przecież nie można zniecka zwałać mu na głowę takich informacji.

— Wcale nie. Mogę robić, co chcę. Mam dziecko na głowie.

Pełna przekonania o własnej słuszności, wzięłam telefon do ręki i napisałam:

Cleaver, tu Jones. Chcę z tobą porozmawiać. Moglibyśmy się spotkać jeszcze w tym tygodniu?

Odpowiedział natychmiast:

Daniel Cleaver

Trochę to zniecka, Jones, ale w sumie czemu nie? Z rozkoszą się z tobą spotkam. Piątek wieczorem? Przyjadę po ciebie nowym wozem i wezmę na kolację.

No, wiecie co! To naprawdę takie łatwe? Przez cały ten czas

siedziałam jak na szpilkach i nie robiłam nic, co mogłoby ich skłonić do myślenia, że mi zależy, że robią mi łaskę, aż w końcu naprawdę uznali, że mi nie zależy?

13 PAŹDZIERNIKA, PIĄTEK

19.00. W samochodzie Daniela, South London.

— Podoba ci się wóz, co, Jones?

Pędziliśmy przez most Waterloo, a ja rozpaczliwie zastanawiałam się, jak poruszyć kwestię dziecka, zanim dotrzemy do restauracji, i dzięki temu z góry uniknąć ewentualnej sceny w miejscu publicznym, ale Daniela nie interesowało nic, tylko jego nowy mercedes.

— Słyszysz, jak cicho mruczy, jak kociak, ale wystarczy tylko nacisnąć pedał i... wrrrum!

Daniel przyspieszył gwałtownie, a mnie alarmująco ścisnęło w żołądku.

— Podoba ci się jasnoszara tapicerka, Jones? Początkowo chciałem wziąć czarną, a właściwie szkarłatną jak krew, ale w końcu uznałem, że ta będzie subtelniejsza i w sumie ładniejsza.

Daniel zarezerwował stół w restauracji Nobu przy Park Lane, która jest miejscówką z rodzaju tych, gdzie można wpaść na Victorię i Davida, a nawet Brada i Angelinę (w tym wypadku raz na zawsze mogłabym rozstrzygnąć odwieczną kłótnię z matką na temat tego, czy faktycznie Angelina „złapała” Brada na Maddoxa).

Niestety rzeczywistość okazała się rozczarowaniem — żadnych celebrytów w zasięgu wzroku. Czułam się, jakbym pojechała na safari, a tu ani tygrysa, ani lwa. Za to w powietrzu zalegał wyraźny zapach ryby.

Kelner poprowadził nas do stolika, a ja dalej nie znalazłam okazji, żeby powiedzieć... cóż, żeby cokolwiek w ogóle powiedzieć, gdyż Daniel tymczasem skończył temat wozu i zaczął opowiadać o swojej powieści: *Poetyka czasu*.

— Pomysł polega na tym, że jest to *Strzała czasu*, tylko na odwrót. Postacie sądzą, że czas się cofa, podczas gdy tak naprawdę biegnie naprzód.

— Ale to przecież znaczy, że porusza się w tym samym kierunku co normalnie? — wtrąciłam.

— To jest powieść konceptualna, Jones. Egzystencjalna.

Co mu się stało? Normalnie konwersacje z Danielem ograniczały

się do tego, jakie kto nosił majtki w szkole.

— No niby tak — upierałam się, gdy kelnerzy podeszli do nas z menu — ale czy to nie zbyt oczywiste, że im się tylko wydaje?

W menu była tylko ryba, wszelkie możliwe rodzaje ryby: sushi, tempura z ryby, ryba przez sto lat karmiona sake z łyżeczki. Czułam, jak dziecko w moim brzuchu miota się w spazmach rybnej wściekłości.

— Co się wydaje, Jones?

— Że płynie do tyłu. Chodzi mi o to, że gdyby czas płynął do tyłu, zaraz byłoby widać. Samochody jeździłyby do tyłu. Ryby pływałyby ogonem naprzód — powiedziałam, a żołądek ścisnął mi się w gwałtownym skurczu.

— Ryby?

Owładnięta nietypową dla mnie biernością, będącą zapewne skutkiem ciąży, pozwoliłam Danielowi złożyć zamówienie i swobodnie rozvodzić się nad jego książką o cofaniu-które-nie-jest-cofaniem. Sytuacja była bardzo dziwna. Daniel zdaje się wyhodował w sobie potrzebę, żeby brano go na poważnie. Może miało to coś wspólnego z mijającymi latami. Ten samochód! Ja dorobiłam się dziecka, a Daniel sztampy.

— Postaraj się zrozumieć, Jones, to jest alternatywny konceptualny świat — ciągnął dalej Daniel. — W *Poetyce czasu* nie ma żadnych ryb.

— No! Dobrze, że chociaż tam! — zauważyłam entuzjastycznie. A kiedy kelner postawił na stole zamówione jedzenie — same ryby — uznałam, że czas już przejść od *Poetyki czasu* do sedna sprawy.

— To jest nowy świat, który zmusza czytelnika do zakwestionowania samych...

— Dobra, dobra, brzmi to jak same... Posłuchaj, Daniel, jest coś, o czym muszę...

— Wiem, wiem, wiem, wiem — przerwał mi, a potem zawiesił głos dla podkreślenia dramatyzmu słów, które zaraz miały paść. I równocześnie zmienił emploi, stając się Danielem, jakiego od zawsze znałam: nachylił się w moją stronę i z nieprzekonującą szczerością spojrzał mi głęboko w oczy. — Zachowałem się w sposób nie do przyjęcia, Jones. Powinienem dzwonić, wśród szlochów wyrażać wdzięczność za tę nieposkromioną noc. Gdzie bukiety kwiatów,

bizuteria, bomboniery z naszymi imionami na tle splecionych serc? Ale prawda jest taka, że ugrzązłem w ostatnim kręgu piekła pisarskiego bloku: redakcja, korekta, promocja. Nie potrafisz sobie wyobrazić, jakim twórczym ciężarem dla autora może się okazać jego powieść...

— Moment.

— Tak, Jones?

— Nie mógłbyś się zamknąć? Gadasz głupoty.

— Ach, masz rację, Jones. Jak zawsze. Pamiętasz, jakie majtki nosiłaś w szkole?

Znienacka odbiło mi się.

— Wszystko w porządku?

— Nie wiem, czy mam ochotę na rybę. Myślisz, że mogłabym zamówić pieczonego ziemniaka?

— No, cóż, sprawa jest taka, że Nobu, która jest japońską restauracją, nie bardzo specjalizuje się w pieczonych ziemniakach, puddingowych roladach z dżemem, pierożkach z wieprzowiną i temu podobnych. Zamówiłaś właśnie pierwszorzędnego pstrąga w różowym miso, marynowanego w algach nori i karmionego sake przez czterysta lat. Zjedz, nie pożałujesz.

Zmagania z podchodzącym do gardła jedzeniem zajęły moją uwagę na tak długo, że w momencie, gdy portier odprowadzał mnie do nowego samochodu Daniela i w nozdra uderzył mi zapach świeżej skóry, wciąż nie zdążyłam podnieść tematu dziecka, które tymczasem zmagало się w moim wnętrzu z pstrągiem miso.

— Piękny wieczór — mruknął Daniel, pstrykając czymś na desce rozdzielczej, na co samochód zareagował głębokim rykiem uruchamianego silnika.

— Daniel, jest coś, co muszę...

W tym momencie pstrąg miso podszedł mi do gardła.

— Ni ztrzymuj smchodu — wybełkotałam, zasłaniając dłonią usta, znienacka pełne wymiocin.

— Co mówisz, Jones, nie do końca zrozumiałem.

Ale było już za późno.

— Jezu na wysokościach, Jones, co jest grane? To jakiś koszmar. Chora jesteś? Egzorcystę mi tu odstawiasz? — zawołał Daniel łamiącym

się głosem i w tej samej chwili strumień wymiocin przełamał tamę mojej dłoni i spryskał białoszarą tapicerkę.

23.00. W domu. Moje małe kochanie, tak mi przykro za to, co narobiłam. Odwdzięczę ci się, obiecuję. Jeszcze zobaczysz, jakie życie może być piękne... Chyba lepiej zadzwonię do dziadziusia.

14 PAŹDZIERNIKA, SOBOTA

Klub taty, Londyn. Powiedziałam mu wszystko, a on tylko spojrzął na mnie tymi swoimi mądrymi, życzliwymi oczyma i wziął mnie w objęcia. Siedzieliśmy w bibliotece. Stare książki, mapy, globusy, zarośnięty sadzą kominek i skórzane fotele, tak rozpaczliwie sfatygowane, że ich wygląd zahaczał o psychodelię.

— Czuję się jak jedna z tych crackowych dziwek albo laska z *Jerry Springer Show*, która przysłała się pochwalić, że przespała się z własnym wnukiem — wyznałam. — Chcesz dotknąć mojego brzucha?

— Wszyscy mamy więcej wspólnego z aferami w stylu *Jerry Springer Show*, kochanie — zauważył tata, poklepując z uczuciem swą embrionalną wnuczkę. — Sam nie wiem do końca, czy jesteś moim dzieckiem, czy tego proboszcza, co czterdzieści lat temu wyciął numer na parafii.

Zatkało mnie.

— Żartuję, małpko. Ale nie masz się czego wstydzić, dziewięćdziesiąt procent ludzi na świecie zachowałoby się tak samo na twoim miejscu.

Oboje powiedliśmy wzrokiem po podstarzałych dżentelmenach, którzy składali się na gości klubu, a teraz cicho chrapali w fotelach.

— Osiemdziesiąt pięć procent? — dumał tata. — Posłuchaj, małpko. Mówiąc prawdę, raczej nie zbłądzisz.

— Chcesz mi powiedzieć, żebym poinformowała mamę? — zapytałam, zdjęta grozą.

— Cóż, aż tak to może nie, jeszcze jej nie mów. Ale w przypadku Marka i Daniela na twoim miejscu powiedziałbym prawdę i zobaczył, dokąd mnie to zaprowadzi.

15 PAŹDZIERNIKA, NIEDZIELA

14.00. W domu. Siedzę na podłodze, ręce mi się trzęsą — właśnie wbiłam w telefon numer do Daniela, a równocześnie sześciooka bestia, składająca się z Toma, Mirandy i Shazzer, wbiła swe spojrzenie we mnie.

— Taaaak, Jones? — odezwał się głos Daniela. — Czy mam przygotować uszy na lawinę...

— Daniel, jestem w szesnastym tygodniu ciąży — wypaliłam. Martwa cisza.

— Rozłączył się!

— Pojeb, totalny, totalny popierdolony, piekielny pojeb z ogonem.

— Jaki normalny ludzki pojeb może coś takiego zrobić? — zapytałam, wściekła nie na żarty. — Dość tego. Skończyłam z mężczyznami. Są nieodpowiedzialni, lekceważący... Chce ktoś pogłaskać po brzuchu?

— Musisz znaleźć jakiś inny sposób na uzewnętrznianie tych gniewnych myśli i uczuć — zauważył Tom tym swoim z lekka strasznym psychoterapeutycznym głosem, a potem nerwowo poklepał mnie po brzuchu, jakby się bał, że dziecko zaraz wyskoczy stamtąd i zwymiotuje mu na kolana. — Może zapisywać je, a potem palić notatki?

— OK — zgodziłam się, ruszając do kuchni, gdzie na stole leżał bloczek samoprzylepnych karteczek i pudełko zapalek.

— Nie! — zaprotestowała głośno Shazzer. — Żadnego palenia. Skorzystaj z telefonu.

— OK. OK.

Zaczęłam stukać na klawiaturze: „Daniel, ty egoistyczny, pusty...”

— Daj mi, mi daj — powiedziała Shazzer pijackim głosem, zabierając mi telefon. Po chwili dopisała: „bezmózgi grafomanie” i zaraz nacisnęła „wyślij”.

— Miałyśmy to SPALIĆ — szepnęłam przerażona.

— Co? Telefon?

— No, tak. Miała uzewnętrznić gniewne myśli i uczucia, a potem wysłać je w przestrzeń wszechświata — wyjaśnił Tom. — A nie do

przedmiotu jej gniewnych myśli i... O, wino się skończyło?

— O Boże. I to jest ewentualny ojciec mojego nienarodzonego dziecka.

— Może być — podsumował Tom głosem niezbyt trzeźwym, a mimo to kojącym. — Dobrze mu zrobi, jak to przeczyta.

— Tom, zamknij się. Bridget, przećwiczyłaś już, co miałaś przećwiczyć. Teraz piszesz do Marka — rozkazała Miranda.

Tak też uczyniłam. Napisałam po prostu: „Chciałabym się z tobą zobaczyć”. A on, ku mojemu niewysłowionemu zdziwieniu, odpisał, że najlepiej zaraz.

15 PAŹDZIERNIKA, NIEDZIELA

Stałam pod drzwiami wysokiego otynkowanego na biało domu Marka w Holland Park, jak stałam tyle razy wcześniej w obliczu wstrząsających dramatycznych wydarzeń, co miały nadejść: smutnych, szczęśliwych, seksualnych, emocjonalnych, triumfalnych i katastroficznych. Na piętrze, w jego gabinecie paliło się światło, jak zwykle pracował. Jak zareaguje? Spuści mnie na drzewo jako pijaną zdzirę? Może będzie zadowolony? Ale w takim razie...

— Bridget! — powiedział domofon. — Jesteś tam, czy może zadzwoniłaś i uciekłaś?

— Jestem — odrzekłam.

Chwilę później drzwi się otworzyły. Mark ubrany był na roboczo, wersja sexy: spodnie od garnituru, koszula rozpięta pod szyją, rękawy podwinięte, a na nadgarstku znajomy zegarek.

— Chodź — zaprosił.

Weszłam i ruszyłam za nim do kuchni. Wszystko w niej było tak samo, jak zawsze: idealnie czysta, opływowa zabudowa, wśród której nie sposób odróżnić na przykład zmywarki od zwykłej szafki czy kosza na śmieci.

— Witaj więc! — zaczął dość sztywno. — Jak ci się w życiu układa?

— Dobrze. A co u ciebie? Pytam o pracę...

— Och, dobrze, cóż, tak naprawdę to całkiem do dupy.

I uśmiechnął się do mnie tym konspiracyjnym półuśmiechem, który tak kochałam.

— Od dłuższego czasu bez powodzenia próbuję przeprowadzić ekstradycję Hanzy Farzada uwięzionego przez króla Kataru.

— Aha.

Wyjrzałam na zadrzewiony ogród: żółknące liście, wirujące myśli. To znaczy moje myśli wirowały w głowie, a nie myśli drzew w ogrodzie. Drzewa nie myślą, chyba że myślimy tu o myślach księcia Karola albo jakichś postaci z powieści Daniela Cleavera. Przyszłość nas wszystkich zależy od tych paru następnych dzieci, to znaczy, chciałam powiedzieć: chwil. Tymczasem zaczęłam powtarzać w głowie, co chciałabym

powiedzieć. Musiałam postępować subtelnie i powoli zmierzać *ad rem*.

— Wszystko to jest zaplątane, rzecz jasna, w sieć handlu międzynarodowego — kontynuował Mark. — Z Bliskim Wschodem zawsze są te same problemy: niekończące się mactwa, fałsz, sieci skonfliktowanych interesów...

— Przepraszam.

— Tak?

Na moment zapadła cisza.

— Ogród wygląda tak pięknie — powiedziałam w końcu.

— Dzięki. Oczywiście sprzątanie liści to udręka.

— Zapewne.

— Tak.

— Mark?

— Tak, Bridget?

O Boże, o Boże. Po prostu nie mogłam. Chciałam ocalić jeszcze tych parę ostatnich chwil, gdy wszystko wyglądało jak kiedyś.

— To kasztan?

— Tak, kasztan, a to magnolia, a to...

— Och, a jak się to nazywa?

— Bridget!

— Jestem w ciąży.

Na twarzy Marka odbiła się prawdziwa płatanina emocji.

— Jak dużo... to znaczy, od kiedy jesteś w ciąży?

— Szesnaście tygodni.

— Od chrzcina?

— Chcesz dotknąć mojego brzucha?

— Tak. — Przelotnie przyłożył rękę do mojego brzucha, a potem powiedział: — Przepraszam na moment.

I wyszedł. Słyszałam, jak idzie po schodach na górę. O co mu chodzi? Zejdzie na dół z pozwem do sądu?

Drzwi otworzyły się gwałtownie.

— To jest najwspanialsza informacja, jaka kiedykolwiek dotarła do mnie w całym moim życiu.

Podszedł bliżej i przytulił mnie, a ja poczułam, jak rozpływam się w znajomym zapachu i jego bezpiecznej bliskości.

— To coś takiego... czuję się prawie tak, jakby zniknęły chmury, a niebo zalał blask słońca.

Odsunął mnie na długość ramienia i spojrzał piwnymi oczami pełnymi czułości.

— Kiedy miało się takie dzieciństwo... kiedy jakimś sposobem... Zawsze wydawało mi się to z punktu niewiarygodną ideą, że miłość może znaleźć odbicie w życiu rodzinnym. Że da się w ogóle stworzyć dom, do którego będzie można wprowadzić dziecko i który będzie jakoś tam inny — popatrzył na mnie wzrokiem małego chłopca — od własnego domu.

Tym razem to ja go przytuliłam i pogłaskałam po włosach.

— Ale stało się tak — oznajmił z rzadkim uśmiechem, wyswobodziwszy się z mojego uścisku — że w chwili... nieskalanej namiętności decyzja została podjęta za nas. A ja jestem najszczęśliwszym mężczyzną na świecie.

Rozległo się pukanie do drzwi, w których po chwili pojawiła się Fatima, stara gosposia Marka.

— Och! — Jej twarz rozjaśniła się na mój widok. — Panna Jones! Wróciła pani? Panie Darcy, pański samochód czeka.

— O mój Boże. Z tego wszystkiego zupełnie zapomniałem. Mam kolację w Towarzystwie Prawniczym...

— Nie, Mark, wszystko w porządku, wspomniałeś o tej kolacji.

— Ale mam samochód... mogę cię podrzucić.

— Przyjechałam swoim nowym samochodem, poradzę sobie.

— Jutro, spotkamy się jutro wieczorem, dobrze?

— Tak.

19.00. W domu. To jest nieznośne. Jestem w ciąży, Mark chce dziecka i gdybym tylko nie przespała się z Danielem, sytuacja byłaby zupełnie bajeczna, a my odtąd żylibyśmy długo i szczęśliwie... O Boże. Z Markiem tylko czasami zdarzało nam się zapomnieć o antykoncepcji, więc być może to jednak dziecko Daniela.

Przeklęte delfinie prezerwatywy. Z drugiej strony, nie byłabym w ciąży, gdybym nie starała się uratować delfinów przed połykaniem nierozpuszczalnych prezerwatyw. A więc powinnam im być wdzięczna... I byłabym, gdyby tylko delfinolubne już w łonie matki

dziecko potrafiło mi zdradzić, czyim delfinolubnym dzieckiem tak naprawdę jest.

To wszystko moja wina. Ale Daniel jest taki zabawny i czarujący. To wygląda tak, jakby obaj stanowili połówki idealnego mężczyzny, skazani na to, żeby współzawodniczyć ze sobą do końca życia. A teraz to współzawodnictwo rozgrywa się w moim brzuchu.

19.15. Muszla klozetowa to naprawdę cudowny wynalazek. Zupełnie zdumiewająca sprawa, że ma się w domu urządzenie, które spokojnie, higienicznie i skutecznie usuwa wszelkie wymiociny. Kocham kochaną muszlę. Jest chłodna i solidna, spokojna i godna zaufania. Jakie cudowne jest życie, w którym można sobie leżeć i mieć pod ręką toaletę. Może to nie Marka wcale kocham, ale toaletę. No świetnie, telefon! Może Mark dzwoni, żeby zapytać, jak się miewam! Może po prostu opowiem mu wszystko, a on mi wybaczy.

20.00. Dzwonił Tom:

— Bridget, czy ja jestem okropnym człowiekiem?

— Tom! Nie! Jesteś kochany!

Nerwica Własnego Człowieczego Okropieństwa zrodziła się u Toma skutkiem spotkania ze „znajomym” (tzn. z facetem, którego kiedyś bzykał) o imieniu Jesus. Spotkanie miało miejsce w kolejce do baru przekąskowego w siłowni — Tom podszedł, żeby powiedzieć „cześć”, a potem poprosił stojącego w kolejce Jesusa, żeby mu wziął smoothie z kiełków pszenicy.

— Cały problem polega na tym — kajał się Tom — że myśl o ominięciu kolejki zrodziła się w mojej głowie, tak mi się przynajmniej wydaje, jeszcze zanim zdecydowałem się powiedzieć „cześć” do Jesusa. Co tym samym czyni mnie jednym z ludzi, którzy na zimno, cynicznie dążą do poprawienia swego losu kosztem innych, jednym z tych, którzy kiedy mają w pubie postawić innym, udają, że muszą wyjść do toalety.

— Moim zdaniem umknęła ci jedna rzecz, Tom — powiedziałam, zadowolona, że na chwilę mogę się oderwać od mojej popieprzonej sytuacji, a równocześnie raczej pewna, że Tom wcześniej czy później przypomni sobie o mojej popieprzonej sytuacji, a potem uzna, że to, iż zapomniał, czyni go okropnym człowiekiem. — To znaczy to, że przywitanie się z przyjacielem samo w sobie jest czymś miłym, a nadto

wypicie z Jesusem zdrowego napoju po ćwiczeniach w siłowni jest znacznie bardziej przyjacielskim gestem niż zostawienie go samego i zajęcie miejsca na końcu kolejki.

— Ale musisz wiedzieć, Bridget, że w istocie zostawiłem Jezusa samego, a smoothie z kielków pszenicy wypilem w towarzystwie Eduarda, ponieważ on jest przystojniejszy. Sama więc widzisz, że jestem okropnym człowiekiem, nie?

Rozpaczliwie zastanawiałam się, jak przedstawić drobną gejowską gafę towarzyską jako przypadkowy akt zyczliwości, ale nie zdążyłam, a Tom załamał się i ze słowami:

— OK. Rozumiem. Jestem okropnym człowiekiem. Do widzenia — skończył rozmowę.

Po chwili telefon zadzwonił znowu.

— O, cześć, kochanie, dzwonię, żeby się dowiedzieć, co chcesz na Gwiazdkę. — Moja matka. Przez chwilę igrałam z myślą, żeby włożyć kij w mrowisko i powiedzieć, iż przyda mi się wózek dziecięcy Bugaboo, ale zdałam sobie sprawę, że chyba chodzi jej o coś innego. — Bridget, pojawisz się na próbie przed wizytą królowej dwudziestego ósmego? Mavis robi teraz wielką sprawę z wartości rodzinnych i poza tym, że czepia się mnie wciąż, bo nie mam wnuków, próbuje też udowodnić, że przez te wszystkie lata nie zrobiłam tyle co ona dla lokalnej społeczności. Ale przecież zrobiłam, nieprawdaż, kochanie?

— Oczywiście, że tak, mam. Przypomnij sobie to całe jedzenie, które robiłaś! Korniszony! — podpowiadałam jej, równocześnie zmagając się z mdłościami podchodzącymi do gardła. — Jaja po szkocku. Pavlova z malinami.

— Tak! Łosoś po królewsku! Wszystkie te łososie!

Grr!

— Byłaś zawsze ostoją wioskowego życia, mam — powiedziałam. — Idź, walnij to tej Mavis prosto z mostu!

(„Walnij prosto z mostu?” Skąd mi się to wzięło?)

— Dziękuję ci, kochanie. Ach, muszę pędzić! Zostawiłam w piekarniku gołonkę z ananasem.

Przytulona do ukochanej muszli klozetowej, dochodziłam właśnie do siebie po ostatniej sesji rzygania, kiedy telefon zadzwonił znów.

Tom:

— Zapomniałem cię zapytać, jak ci poszło z Markiem. Widzisz? Okropny człowiek. Nie jestem godny, żeby z tobą rozmawiać. Do widzenia.

Przez jakąś minutę wpatrywałam się nierozumiejącym wzrokiem w telefon, a potem — dla dobra dziecka — wstawiłam ziemniaki z serem do mikrofalówki.

21.00. Masz, masz, kochanie, od mamusi: ziemniaki zapiekane z serem.

Powinno się mówić prawdę, czyż nie? Ponieważ i tak w końcu zawsze trzeba będzie to zrobić. Nawet gdyby było to równoznaczne ze zdobyciem się na wielką, wielką odwagę. Nawet gdyby się za nic, za nic nie chciało.

16 PAŹDZIERNIKA, PONIEDZIAŁEK

Dom Marka zmienił się w siedzibę komitetu powitalnego dziecka — wszędzie kwiaty, wyprawki, a w kuchni transparent głoszący: **GRATULACJE DLA BRIDGET.**

Fatima krzątała się energicznie, jej twarz jaśniała. Uściskała mnie na powitanie, a po chwili, z właściwym sobie taktem, opuściła pomieszczenie.

— Nie wolno ci nic nosić — poinformował mnie Mark, biorąc ode mnie torebkę. — Usiądź tutaj i unieś nogi do góry.

Posadził mnie na stołku barowym przy kuchennym kontuarze, a potem próbował ułożyć moje stopy na sąsiednim stołku. Zaśmialiśmy się oboje.

— Zobacz, co znalazłem dla niego na strychu. Kiedyś to była moja ulubiona zabawka. Chodź!

W salonie, gdzie dawniej znajdowały się miękkie sofy i fotele — a który teraz chyba zasługiwał już na miano „pokoju dziennego” — stał rozłożony stary zestaw torów i samochodzików Scalextric.

Roześmiałam się, równocześnie zmagając ze łzami napływającymi do oczu.

— Być może nie będzie na to gotowa tak OD RAZU, ale z czasem...

Mark tymczasem odezwał się z wnętrza lodówki:

— Zobacz, co tu mam!

Dwie paczki pieluch Huggies.

— Pomyślałem sobie, że tu je należy trzymać, żeby potem przyjemnie chłodziły mały tyłeczek. Nie? Ćwiczę, wprawiam się. Oczywiście, przeprowadzisz się do mnie? Będziemy mieszkać we trójkę. Czuję się, jakbym dostał drugą szansę! Drugą szansę na życie!

A mnie w uszach jak powtarzające się motto brzmiały słowa ojca: „Mówiąc prawdę, raczej nie zblądzisz”.

— Mark.

Coś w tonie mojego głosu sprawiło, że zamarł jak wryty.

— Co? Bridget, coś nie tak? Coś z dzieckiem? Stało się coś?

— Nie, nie. Z dzieckiem wszystko w porządku.

— Dzięki Bogu.

— Chodzi o to... że jest drobny problem.

— Dobra, dobra. Poradzimy sobie ze wszystkim. W czym rzecz?

— Chodzi o to, że po chrzcinach czułam się tak wyprowadzona z równowagi, kiedy powiedziałaś, że nie chcesz znowu być razem i zabierać mi moich płodnych lat, że...

— Strasznie cię przepraszam. Uwierz, mam za sobą niejedną nieprzespaną noc, bo się zadręczałem, czy nie powinienem do ciebie zadzwonić. To Jeremy wtedy namieszał mi w głowie. Złapał mnie na korytarzu w hotelu, kiedy szedłem po śniadanie, i przekonał, że to bardzo nieładnie z mojej strony, że cię bałamucę w tym okresie twojego życia, o ile nie jestem całkowicie pewny swoich uczuć i tego, że mogę być dla ciebie oddanym mężem. A ja byłem świeżo po rozwodzie i naprawdę nie mogłem z pełną odpowiedzialnością, uczciwie...

Zamknęłam oczy. Dlaczego nie mam nawet na tyle wewnętrznej pewności siebie, żeby nie uciekać na pierwszy znak odrzucenia? Żeby choć dopuścić myśl, iż może chodzić o coś innego niż tylko to, że jestem za stara, za gruba albo za głupia?

— Wydawało mi się, że to mnie przerasta — oświadczył Mark — że nie dam rady, ale teraz...

— Byłam taka nieszczęśliwa.

— Nie potrafię wręcz wyrazić, jak mi przykro, Bridget.

— Czułam się taka stara, rozumiesz, że...

— No coś ty? To ja się czułem stary. Co zrobiłaś, Bridget?

— Tam, za oknem, to więź?

— Bridget.

— Poszłam do łóżka z Danielem Cleaverem.

— TEGO SAMEGO DNIA?

— Nie, nie, kilka dni później. Nie mogłam opędzić się od myśli, że moje życie seksualne dobiegło końca, i on wciąż mi powtarzał, że tak młodo wyglądam, że nie wie, czy ożenić się ze mną, czy mnie adoptować, a przyjaciele mówili: „Dosiądź znów tego konia” i...

— W obu... razach stosowałaś antykoncepcję?

Mark otwierał po kolei i zamykał drzwiczki szafek z nierdzewnej stali.

— Tak, ale to były... ekoprezerwatywy. Okazało się, że minął ich termin ważności, po którym się rozpuszczają ze względu na delfiny.

Otworzył kolejne drzwiczki z nieskazitelnej nierdzewnej stali i na blat posypała się lawina bałaganu: dokumenty, fotografie, stare koszule, ołówki, ulotki. Przez chwilę upychał wszystko z powrotem. Potem zatrzasnął drzwiczki. Kiedy odwracał się w moją stronę, zobaczyłam napięte mięśnie karku.

— Tak, nie, bez trudu potrafię sobie wyobrazić, jak do tego mogło dojść. Nie musisz mi nic tłumaczyć.

Otworzył kolejną szafkę, w której znalazł wreszcie to, czego zapewne szukał — wyciągnął butelkę szkockiej i nalał do szklanki.

— Da się to jakoś stwierdzić? To znaczy, kwestię ojcostwa... kto, formalnie... jest ojcem? — zapytał i wlał sobie zawartość szklanki do gardła.

— Tak, ale wiąże się to z ryzykiem dla zdrowia dziecka.

— Z pewnością jednak...

— Wiem. Ale nie mam zamiaru ryzykować. Trzeba użyć wielkiej igły. Upiornej.

Zaczął chodzić w tę i we w tę, tym swoim nerwowym krokiem.

— Dobra, dobra, jasne. Teraz już rozumiem. To wyjaśnia, dlaczego, kiedy zdarzyło nam się zapomnieć o antykoncepcji...

Potem odwrócił się i spojrzał na mnie, w jednej chwili opanowany i zimny.

— Domyślam się, że będziesz się chciała wcześniej położyć spać?

— Mark. Nie. To może być nasza córka. Szanse są przynajmniej pięćdziesiąt na pięćdziesiąt.

— Doceniam, że chcesz być miła.

— To była tylko chwila, odruch, jedna zła decyzja.

— Tak, wiem. Widuję to wciąż w moim życiu zawodowym: ludzkie tragedie. Życie jest bardzo zmienne. Ale obawiam się, że w życiu prywatnym nie mógłbym się na to zgodzić.

— Tak mi przykro, tak bardzo przykro.

— Takie jest życie. Gra się kartami, jakie dał nam los. No i świetnie.

Wiedziałam, że w tym stanie niczego nie da się z nim osiągnąć.

Odprowadził mnie w milczeniu do samochodu, a potem płakałam przez całą drogę do domu.

SIEDEM

Bezmózgowie

18 PAŹDZIERNIKA, środa

20.00. W domu.

— Jestem idiotką i tyle na ten temat. Wszystko to moja wina. On mi tego nigdy nie wybaczy.

— O, przepraszam cię bardzo! Też maczał w tym paluchy — zauważyła Miranda.

— Najpierw cię, kurwa, puknął, a potem bezlitośnie rzucił! — wrzasnęła Shaz.

— Nikt mu nie kazał być taką świnią.

— Kochanie, znasz doskonale psychopatologię Marka — mówił Tom w zadumie. — To człowiek, który na wszystko reaguje unikiem. Najdrobniejsza nawet sugestia kłopotów i zaraz wycofuje się emocjonalnie. Wróci jeszcze.

— Nie wydaje mi się — odrzekłam. — Weź tamtą imprezę zaręczynową. W pale się nie mieści, że mogłam być taką...

W moim telefonie brzdęknął sygnał powiadomienia o otrzymaniu esemesa.

Bezmózgi Daniel nie odpowiadać

(Niedawno zmieniłam to i owo na liście kontaktów).

Tamci wzdrygnęli się nerwowo i teraz gapili się na mój telefon, jakby krył wiadomość od któregoś z egipskich bogów, przesłaną na promieniu porannego słońca przesączającym się przez małą dziurkę w piramidzie wprost do amuletu.

Bezmózgi Daniel nie odpowiadać

Jones, sorry, że się wtedy rozłączyłem. Mógłbym do ciebie wpaść?

A potem drugi:

Bezmózgi Daniel nie odpowiadać

Oczywiście ubrany w kalosze i nieprzemakalny kombinezon z kapturem.

— NIE SPOTYKAJ SIĘ Z NIM — zarządziła Miranda. — A tak nawiasem, wino już wyszło?

— Nie mogę się z nim nie spotykać, to może być ojciec mojego...

— Powinnaś się z nim spotkać — odpowiedział życzliwie Tom.

— Tyko NIEJIS z nim do łóżka.

— Ona weźmie i znowu zajdzie w ciążę.

— Sss trojaszkami — wybełkotała Shaz.

— Z NAKRAPIANYMI trojaczkami — burknęła Miranda.

19 PAŹDZIERNIKA, CZWARTEK

19.00. W domu. Daniel wyłonił się właśnie z klatki schodowej ze stylowym bukietem opakowanym w awangardowy brązowy papier i przewiązany słomą.

— Słuchaj, Jones, niczym się nie przejmuj. Ja się wszystkim zajmę.

— Ty? — zapytałam z niedowierzaniem, a potem wpuściłam go do środka.

— Oczywiście, Jones. Może w przeszłości nie byłem chodzącą doskonałością, ale jak przyjdzie co do czego, to dżentelmen w każdym calu.

— OK. — Poweselałam, a on uwalił się na kanapie w swoim nieskazitelnym garniturze.

— Chryste, Jones, to czekolada? — zapytał sekundę później, wyciągając spod siebie coś, na czym właśnie usiadł.

— Och, nie chciałam!

— Więc powiedz tylko gdzie, a przyjdę, wesprę i za wszystko zapłacę.

— CO?

— Przecież chyba nie zamierzasz go urodzić? No, coś ty? Chryste, Jones, przepraszam. Po prostu uznałem, że w tej sytuacji...

— OK, wystarczy! Wynocha! — wyplułam z siebie, popychając go w stronę drzwi. — Chociaż właściwie to ci powiem. Jest jeszcze jedna rzecz, Daniel. Dziecko niekoniecznie jest twoje.

— Słucham?

— Nie wiadomo, czy jest twoja. Może być Marka Darcy'ego. Daniel przetrwał to przez chwilę, po czym z błyskiem w oku rzucił:

— Kto był pierwszy, on czy ja?

— Daniel! Kogo teraz obchodzi ta szkolna pyskówka, którą od iluś wieków ciągniesz z Darcym? Są ważniejsze rzeczy.

— Jones, Jones, Jones! Przepraszam. Masz rację.

Wszedł z powrotem do mieszkania, westchnął teatralnie, a potem jeszcze urządził pokazówkę z brania się w garść.

— Zdecydowałem: będę przy tobie, ja, nowy człowiek, przyjdę na USG i w ogóle wszystko.

— Nie przyjdiesz na USG.

— A właśnie, że przyjdę.

— Nie przyjdiesz.

— PRZYJDE.

— Akurat! Umówisz się z jakąś osiemnastoletnią modelką bielizny i zrobisz mnie w wała.

— Mówię ci: przyjdę na USG.

— Za nic ci nie wierzę.

— Przyjdę na bank. Przyjdę na badanie mojego dziecka i mi nie zabronisz. No dobra, Jones, muszę już iść. Mam... mam...

— Randkę?

— Nie, nie, nie: spotkanie w wydawnictwie. Przyślij esemesa, kiedy i gdzie, to będę tam w fartuchu i gumowych rękawicach.

20.10. Siedziałam ze wzrokiem obłąkańczo wbitym w przestrzeń; jedno oko zamknięte, drugie otwarte. Danielowi chodzi tylko o rywalizację z Markiem Darcym czy naprawdę chce być ojcem?

Wróciłam myślami do czasów, kiedy umawiałam się z Danielem (tzn. pozwalałam mu robić sobie wodę z mózgu), a równocześnie moja dawna kumpelka Jude (obecnie wyszpeniona baba z nowojorskiego banku) pozwalała, by Podły Richard jej robił wodę z mózgu, oraz do tego, co wówczas wywodziła Shazzer na temat „Emocjonalnego Bezmózgowia”, które jej zdaniem szerzyło się wśród mężczyzn po trzydziestce jak ogień po puszczy.

20.20. Odszukałam w swoim dzienniku wywody Shazzer:

Kiedy kobiety z dwudziestolatek stają się trzydziestolatkami, równowaga zostaje nieznacznie zachwiana. Nawet największe luzary zaczynają tracić spokój ducha, czując pierwsze ukłucia egzystencjalnych lęków: strach przed śmiercią i byciem odnalezioną trzy tygodnie później, na wpół zjedzoną przez owczarka alzackiego. A mężczyźni tacy jak Richard szukają szczeliny w zbroi, by wykręcić się od zaangażowania, dojrzałości, honoru i naturalnej ewolucji instytucji związku mężczyzny i kobiety.

W tym, co właśnie nagadał mi Daniel, trudno było się doszukiwać

jakiegokolwiek „ewolucji instytucji związku mężczyzny i kobiety”.

Ale być może nawet taki bezmózgowiec jak Daniel faktycznie chce dziecka? I tylko za nic nie potrafi przewyciężyć w sobie swojego bezmózgowia?

Dziwne w całej sprawie jest to, że od ukończenia trzydziestki aż do teraz wydawało mi się, że dziecko to coś, w co mężczyznę trzeba jakoś tam zrobić. To znaczy demonstracyjnie udawać, że się dziecka nie chce, bo inaczej facet ucieknie z wrzaskiem i tyle go widzieli.

Może na tym właśnie polega cała różnica między Singielkami, takimi jak ja, Miranda albo Shazzer, a Dętymi Mężatkami w rodzaju Magdy. Dęte Mężatki nie doświadczają lęków ani rozdarcia, tylko nie oglądając się na nic, kierowane czysto praktycznymi zamiarami, zawierają umowę, która jak najszybciej zapewni im bezpieczne życie bez dalszych szaleństw: prawdopodobnie nawet im do głowy nie przyjdzie, że mężczyzna mógłby nie chcieć mieć z nimi dzieci.

20.30. Ośmielona tym odkryciem, nawet jeśli nie do końca pewna, co właściwie odkryłam, wysłałam esemesa do Marka:

Bridget Jones

Mark, zdaję sobie sprawę, jakie to wszystko skomplikowane, ale w poniedziałek 23 października o godz. 17 mam USG i bardzo bym się ucieszyła, gdybyś przyszedł.

20.32. Jak zahipnotyzowana wpatruję się w pociemniały ekran telefonu.

20.33. Mark nie odpisuje.

20.34. Mark nadal nie odpisuje.

20.35. A jeśli odpisze, że przyjdzie? Co wtedy zrobię z Danielem? A jak powiem Markowi, że Daniel zamierza przyjść, i Mark mimo to się zdecyduje? A co będzie, jeśli nie powiem Markowi o Danielu — zakładając, że Daniel i tak się nie pojawi — a Daniel jednak się pojawi?

20.45. Zrozumiałam, że nie raz w życiu marzyłam o tym, jak idę na USG z Markiem albo z Danielem: ale przecież nie z oboma naraz.

21.00. Otóż to. Brokuły. Jemy za dużo ziemniaków zapiekanych z serem, więc musimy poszerzyć nasze kategorie żywności. Brokuły to

jedzenie hybrydowe, które należy do kilku podstawowych kategorii.
Inny przykład to granaty.

21.30. Dziecko nienawidzi brokułów. Zjem ziemniaki zapiekane z serem.

22.00. Wciąż żadnego esemesa od Marka.

20 PAŹDZIERNIKA, PIĄTEK

18.00. Studio *Sit Up Britain*.

— *Sit Up Britain!* — powiedziała Miranda do kamery, z werwą, jak przystało na prezenterkę wiadomości. — Najważniejsze wiadomości z kraju i ze świata. Dwadzieścia minet bez upiększeń i cenzury!

BIM-BAM.

— Powiedziałam „minet”? — spytała Miranda, gdy tymczasem reporterzy z czołówki maszerowali skroś kuli ziemskiej z ostateczną determinacją na obliczach.

— Tak — szepnęłam jej do słuchawki i rozejrzałam się ukradkiem, czy Peri Campos przypadkiem nie patrzy.

— Ta zajawka jest i tak niewymawialna — orzekła Miranda i sprawdziła, co teraz ma na prompterze. — A poza tym, ja się pytam, jaki POTWÓR nie odpowiada na esemesa z prośbą o udział w USG?

— Może ma jakieś spotkanie?

— Trwające CZTERY DNI? Srał go pies. A teraz stroiki na głowę! Fascynatory to nowe kolczyki?

BIM-BAM.

— Co to, kurwa, jest? — powiedziała Miranda. — Kto pisał te kretynizmy? Kto nosi dwa stroiki naraz?

— Peri Campos to napisała — syknęłam, gdy tymczasem przez ekran przelatywały głowy Camilli, Kate, księżniczki Beatrycze i księżniczki Eugonii, wszystkie oczywiście w stroikach. — Przy współpracy chłopców z koczками, którzy mówią „łał” i „ziomek”.

— Ble — odparła Miranda. — Idź z Danielem, zioma.

— Ale on, jak się dowiedział, to kazał mi się pozbyć dziecka.

— Przynajmniej zaproponował kasę i bzykanie z nim jest legit, zioma. A teraz uliczne protesty w Maghrebie, które przeniosły się pod ambasadę Wielkiej Brytanii.

BIM-BAM.

— O Boże, Bridget! Spójrz na ten klip.

Na nagraniu było widać tłumy w białych szatach kłębiące się pod jakimś pałacem z zaschniętego czerwonego błota, potem kamera zrobiła najazd na krzyczących ludzi i zobaczyłyśmy, jak przez tylne szeregi

tłuszczy przedzierali się Mark Darcy i Freddo, jego asystent z Oxbridge.

21.00. W domu. Czuję się już znacznie lepiej, bo znam powód milczenia Marka. Zabrałam się do czytania *Czego się spodziewać, kiedy się spodziewasz* oraz *Hybrydowa żywność. Gdzie jej jeszcze szukać*.

Upiekę te hybrydowe muffinki z brokułami, które znalazłam w książce kucharskiej pełnej genialnych sposobów zmuszania dzieci do jedzenia warzyw. A potem zrobię sobie mus czekoladowy z awokado.

21.15. Cholera! Próbowałam wyciągnąć szklankę z górnej szafki i niechcący ją upuściłam. Spory kawał szkła wpadł wprawdzie do muffinkowej mieszanki, ale udało mi się go wyciągnąć. Będzie dobrze.

22.00. Mark nadal nie odpisuje. Wygląda na to, że zostaliśmy tylko ja i Daniel. A zapewne tylko ja, sama. No świetnie, esemes.

Bezmózgi Daniel nie odpowiadać

Gotów na wielki dzień, Jones. Do zobaczenia jutro.

23 PAŹDZIERNIKA, PONIEDZIAŁEK

16.00. Gabinet dr Rawlings.

— A więc to jest tatuś? — Dr Rawlings wtargnęła do gabinetu i spojrzała spod wygiętej w łuk brwi na Daniela oraz na mnie. — Miło wreszcie poznać. No dobrze. To w takim razie do dzieła, zgoda?

Podciągając bluzkę do góry, odsłoniła moją ciążę.

— Dobry Boże, Jones! — odezwał się Daniel. — Wyglądasz jak wąż boa, który zjadł kozę.

— Chwileczkę! — zakrzyknęła dr Rawlings i zastygła z uniesioną ręką, w której trzymała to coś od USG, a potem uśmiechnęła się do Daniela uśmiechem pełnym niedowierzania. — Znam ten głos. Pan występuje w telewizji, mam rację? To nie pan przypadkiem prowadził ten program o podróżach?

— Taaak, *Przewodnik łatwy, lekki i przyjemny* — wybąkał Daniel, a dr Rawlings w jednej chwili zmieniła się w śmieszkę i trzpiotkę.

— Daniel Cleaver! *Przewodnik łatwy, lekki i przyjemny!* Ach, jak myśmy to uwielbiali. Nie przepuściliśmy ani jednego odcinka. Wprost pękaliśmy ze śmiechu, kiedy pan tarzał się w błocie z tymi młodymi Tajkami.

— Może jednak obejrzymy dziecko? Proszę? — wtrąciłam, myśląc sobie: „Czy istnieje jakaś dziedzina życia, której jeszcze nie opanowała kultura celebrytów?”.

— Boże drogi, ale to będzie, jak wszystkim opowiem — ciągnęła dr Rawlings. — Zaraz, zaraz, mogłabym prosić o autograf? — Odłożyła sondę i zaczęła się rozglądać za kawałkiem papieru. — O, już mam! Recepta! Idealnie! Najlepiej coś śmiesznego.

Zauważyłam, jak w oku Daniela pojawił się podejrzany błysk. Boże. Zamierzał narysować penisa czy co?

— I nad czym pan teraz pracuje, Danielu? Jakies nowe programy na horyzoncie?

— Wydaję powieść — odparł, gryzmołąc po recepcie.

— Och, super! Też taka śmieszna? — spytała zalotnie.

— Nie, nie, ani trochę, prawdę mówiąc. To kawał dobrej literatury. Dałem jej tytuł *Poetyka czasu*. Jest to egzystencjalne studium...

— No dobrze! Może proszę się pospieszyć — powiedziała dr Rawlings, najwyraźniej jeszcze bardziej ode mnie znudzona *Poetyką czasu*.

Zerknęła na to, co napisał dla niej Daniel, i skrzywiła ją ze śmiechu.

— Nie mogę, no, nie mogę — powiedziała, przetarła oczy i zaczęła smarować mi brzuch żelem, ale takimi ruchami, jakby wycierała podłogę.

— Ding-dong! — rzucił Daniel. — Dr Rawlings, czy mogłaby pani zrobić to później ze mną? Ostatnio coraz mocniej cisną mnie spodnie w pasie. Obawiam się nie na żarty, że coś mi tam w środku rośnie.

— Penis ci rośnie, Daniel — rzuciłam oschle, a dr Rawlings znowu zachichotała.

— OK, proszę się teraz uspokoić, Bridget. No już, spokój! — rozkazała.

— Ja mam się uspokoić?

— Ciiii! Posłuchajmy serca.

Podkręciła maszynę i zniecka ogłuszył nas potworny łomot. Daniel autentycznie się zląkł.

— Na pewno wszystko dobrze? — zapytał. — To brzmi jak ten francuski superszybki ekspres w tunelu.

— Dziecko jest w znakomitym stanie. No, dobrze! A teraz popatrzmy na ekran. Och, tu malutka rączka! Popatrzcie! I... och! Jest i penisek!

Podniosłam się gwałtownie.

— Penis? To ona ma penisa? Moja maleńka córeczka ma penisa?

Z jakiegoś niewiadomego powodu byłam absolutnie przekonana, że dziecko to dziewczynka, na tej zasadzie, że matka takie rzeczy po prostu wie i już.

— Owszem, widzicie go tutaj? Nawet sporawy.

— Jaki ojciec, taki syn — wymruczał Daniel.

— Nie chcę w sobie żadnego sporawego penisa!

— Pierwszy raz słyszę coś takiego z twoich ust, Jones. O, patrz, patrz, pociera sobie nosek rączkami.

— Nie, on próbuje pomachać — zaprotestowałam. — Cześć, malutki. Tu mamusia, tu twoja mamusia, czeeeść! — Kompletnie mnie

wzięło. To była najlepsza rzecz, jaką w życiu widziałam, jeśli nie liczyć poprzedniego USG, na którym również widziałam najlepsze rzeczy, jakie w życiu widziałam.

Spojrzałam na Daniela, sprawdzając, czy i jego dopadło. Miał taką minę, jakby był bliski płaczu.

— Jones — powiedział, sięgając po omacku do mojej ręki. — Nasz mały chłopak.

Spod gabinetu odjechaliśmy świeżo wysprzątanym mercedesem Daniela — bladoszare wnętrze wciąż lekko pachniało rzygowinami. Daniel prowadził niesamowicie wolno i ostrożnie, tak wolno i ostrożnie, że inne samochody cały czas trąbiły i wymijały nas w pędzie.

— Chyba mógłbyś jechać odrobinę szybciej — zaryzykowałam, mając wrażenie, jakbym z ciała bohaterki *Jerry Springer Show* w jednej chwili przeniosła się do ciała Dętej Mężatki, która z tylnego siedzenia pasywno-agresywnie współprowadzi samochód ze swoim mężem.

Daniel położył stopę na gazie i zaraz walnął w próg spowalniający na jezdni. Zahamował.

— Jezu! Czy on wypadł? Nic mu się nie stało? Chryste, Jones! Zdejmij pas. Zdejmij z niego pas, bo mu zdusi głowę.

— Och, nie! Poważnie? — krzyknęłam, rozpinając pas. — Zdusiliśmy mu głowę? Tylko jak dojedziemy do domu, jeśli nie mogę się przypiąć?

Oboje popatrzyliśmy na siebie, spanikowani niczym para siedmiolatków.

W końcu jakoś dojechaliśmy do mnie, przy czym ja cały czas odsuwałam ręką pas od brzucha, a Daniel z każdą chwilą robił się coraz bardziej milczący.

Kiedy już się zatrzymaliśmy, odpięłam pas, najdelikatniej i najostrożniej, jak potrafiłam, żeby nie strzelił z powrotem i nie zdusił dziecku głowy.

— Ty idź na górę — powiedział Daniel. — Ja zaparkuję. Sprawdź, czy masz włączony telefon na wypadek, gdyby coś jeszcze się stało.

Słyszając ryk oddalającego się mercedesa, wyjęłam telefon, który wyłączyłam na czas badania — o czym zresztą przypomniałam sobie dopiero teraz — i znalazłam milion esemesów od Marka.

Mark Darcy

Bridget, właśnie wsiadam do samolotu lecącego już na Heathrow i dopiero teraz odebrałem twoje SMS-y. USG jest nadal aktualne? Spróbuję być, jeśli dolecimy o czasie.

Mark Darcy

Właśnie wylądowałem. Już pędzę. Gdzie to USG?

Mark Darcy

W którym szpitalu jesteś?

Mark Darcy

Bridget? Nie obrażaj się, proszę. Byłem w Afryce, 4 dni bez zasięgu.

Kiedy szłam bardzo, ale to bardzo ostrożnie w stronę swojego mieszkania, przestraszona, że dziecko może mi wypaść z brzucha, zauważyłam nadchodzącą z drugiej strony znajomą postać w ciemnym płaszczu.

— Mark! — zawołałam i pognałam do niego.

Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

— Nie mogłem cię znaleźć. Nie odebrałaś moich esemesów? Jak poszło?

Usłyszałam za sobą kroki.

— Darcy! Co ty tu, do diabła, robisz? — powiedział Daniel. — Właśnie wracamy z USG, prawda, Bridge?

I tu spróbował mnie objąć. Wywinęłam się, ale wtedy, ku mojemu przerażeniu, wyjął zdjęcie USG i pokazał Markowi.

— I co myślisz? Mały przystojniak z niego, nie?

Mark nawet nie spojrział na zdjęcie.

— Byłbym tu, ale byłem w Maghrebie.

— A tak, doskonale znam ten lokalik. To ten klub tańca brzucha przy Old Compton Street?

Mark wykonał taki ruch, jakby chciał się na niego rzucić.

— Hola, hola, pani Darcy, gniew piękności szkodzi!

— Przestańcie natychmiast! — zaprotestowałam. — Nie bijcie się. Ja już mam jedno dziecko. W sobie.

— Masz rację — powiedział Mark. — Musimy omówić to na spokojnie, jak dorośli ludzie. Możemy wpaść?

— Szkoda, że wcześniej nie przyszło nam do głowy zapytać — rzucił Daniel.

W domu.

— Chce ktoś herbaty? — spytałam radośnie, jakby to było Grafton Underwood, a ja jakbym była swoją matką, do której właśnie wpadł proboszcz na motylkowe babeczki i kieliszek sherry.

Obaj popatrywali na siebie wilkiem niczym dwaj kandydaci na prezydenta USA na moment przed tym, nim zaczną się obrzucać błotem, któremu to procederowi dla niepoznaki nadano nazwę „debaty prezydenckiej”.

— Darcy — zaczął uprzejmym tonem Daniel — po tych wszystkich latach, kiedy ci mówiono, że strzelasz ślepakami, teraz już musisz wiedzieć, jak czuć się musi kastrat.

Mark pchnął go w stronę drzwi na balkon.

— Darcy nie ma żołnierzyyyków! — powiedział śpiewnie Daniel.

— Co wy WYPRAWIACIE? — krzyknęłam, gdy tymczasem Mark wypchnął Daniela na zewnątrz i zamknął za nim drzwi.

— Może wyskoczy? — mruknął Mark.

— Może tak obaj przestaniecie się wreszcie handryczyć i dorośnięcie? Czuję się, jakbym miała dwoje dzieci — powiedziałam, uwijając się jednocześnie przy herbacie. — Mark, wpuść Daniela. — Niemal zmieniłam się w Magdę i miałam już na końcu języka: „Mamusia da klapsa, da klapsa, da klapsa”.

— My mamy dorosnąć? — spytał Daniel, wracając z balkonu. — To ty przespałaś się z nami dwoma w zastraszająco krótkim odstępie czasu, jak typowa przedstawicielka pokolenia Z.

Nagle strasznie zmęczona, siadłam ciężko przy kuchennym stole.

Na tym właśnie ma polegać bycie matką? Że ja będę szykowała POSIŁKI i ogólnie URABIAŁA SOBIE RĘCE PO ŁOKCIE, a oni tymczasem będą się kłócili i bili? Nagle przypomniało mi się, że nie wstawiłam czajnika. A może tak poczęstować ich hybrydowymi mufinkami?

— Słuchajcie, sytuacja jest daleka od idealnej — zwrócił uwagę Mark. — Ale może właśnie nadarza się okazja, abyśmy przyjrzeni się naszemu postępowaniu i ewentualnie rozdzielili zakresy odpowiedzialności, tak aby i wilk był...

— Święte słowa, matko przełożona. Zaraz razem zaśpiewamy *Pokonasz każdą górę?*³

— Herbata na stole! — zagruchałam. — I są też domowe mufinki!

Daniel i Mark popatrzeni na siebie, przerażeni jak nigdy dotąd.

Siedzieliśmy we trójkę za kuchennym stołem, z wielkim trudem usiłując zjeść — sama musiałam przyznać — ohydne hybrydowe mufinki z brokułami.

Nagle Mark zaczął się dławić, a po chwili wyciągnął z ust spory kawałek szkła.

— Co to jest?

— O, ja cię! Stłukłam szklanekę podczas sporządzania mieszanki. Myślałam, że wszystko wyciągnęłam. Nie skaleczyłeś się, prawda?

W tym momencie Daniel poderwał się z miejsca i WYPLUŁ swoją mufinkę do zlewu. Po chwili wyłowił kawałek szkła i uniósł go ostentacyjnie w górę.

— Mam wrażenie, że moje życie rozpada się na moich oczach. Na tym właśnie polega rodzicielstwo? Rzygi w samochodzie? Czekolada na garniturze? Mufinki z brokułami i kawałki szkła w brzuchu?

— Przepraszam, strasznie przepraszam, myślałam, że wyciągnęłam wszystko. Wiem, narobiłam straszego burdelu. Po prostu już nie mogę.

I tu zapadłam się w siebie, a głowę skryłam w ramionach. Chciałam tylko, żeby to wszystko już się skończyło. Z wyjątkiem dziecka.

Ale Mark podszedł bliżej i objął mnie.

— Nie przejmuj się tak, nie przejmuj. Świetnie sobie radzisz.

— W końcu wcale nie udało ci się nas pozabijać — powiedział Daniel, cudacznymi ruchami uprzątając wnętrze zlewu. — No chyba że

sproszkowane szkło właśnie nam perforuje jelita.

— Wszyscy troje doświadczyliśmy bliskiego spotkania ze śmiercią — dodał Mark i zaczął się śmiać.

— Czyli że możemy się teraz tak jakby pogodzić i skupić na rzeczach istotnych? — zapytałam z nadzieją.

— Na szczęście jest nas kupa — odpowiedział mi Daniel.

A potem wszyscy ponownie zasiedliśmy do stołu i popijaliśmy grzecznie naszą herbatę niczym dobrze wychowana rodzina ze staroświeckiego filmu z lat 50., a nie jak z tych współczesnych programów telewizyjnych, w których dzieci obrzucają swych homoseksualnych rodziców przemądrzałymi i nieco obraźliwymi tekstami pisanymi przez zespoły hollywoodzkich scenarzystów.

— A co z rodzicami? — przypomniałam sobie tak nagle, że aż mi głowa podskoczyła do góry.

— Oczywiście musimy im powiedzieć — odparł Mark.

O Boże, pomyślałam. Wioska! Grafton Underwood! Admirał i Elaine Darcy! Mama, Una i Mavis Enderbury!

— Rodzicom? — zapytał Daniel.

— Owszem — powiedział Mark. — Masz jakichś rodziców czy nie?

— Nawet jeśli mam, to i tak w życiu im nie powiem.

— Interesujące. W przyszłą sobotę będzie próba przed wizytą królowej, Bridget. Jak rozumiem, zamierzasz w niej uczestniczyć?

— Uważasz, że powinniśmy im wtedy powiedzieć? — spytałam, zdjęta nagle skrajnym przerażeniem.

— Oczywiście na osobności, prywatnie.

— Przecież im nie powiesz, że jestem w ciąży, co? Jeżeli wszyscy w wiosce mają się gapić, to nie jadę, nie ma mowy.

Zapadła chwila milczenia, a potem usłyszałam:

— Nie.

— Ależ skąd.

— Ani pary z ust.

— Osobiście uważam, że do urodzenia dziecka ciąża jest całkowicie niepotrzebna, Jones.

2 Tłum. Joanna Szczepańska.

3 Aluzja do amerykańskiego musicalu *Dźwięki muzyki*.

OSIEM

Wartości rodzinne

28 PAŹDZIERNIKA, SOBOTA

Grafton Underwood: próba przed wizytą królowej.

— Wartości rodzinne! — darł się do mikrofonu ojciec Marka, admirał Darcy.

Zebrała się cała wioska, razem z Lordem Mayorem i delegacją z pałacu, która chciała zapoznać się ze scenerią.

— Wartości rodzinne i cnoty wiejskiego życia, oto na czym winniśmy się oprzeć — grzmiał admirał — w chwili, gdy po raz pierwszy w swej tysiącletniej historii kamień Ethelreda oraz zapewniająca mu cichą przystań wioska Grafton Underwood zaszczycone zostaną wizytą panującej monarchini, która zawita pod nasze skromne strzechy!

— Skromne strzechy! — zadrwił wujek Geoffrey, zdecydowanie nazbyt głośno powtarzając sformułowanie admirała. — Już zdążył sobie dziabnąć?

Zerknęłam przez tłum w stronę, gdzie stał Mark, wyraźnie powstrzymując się od śmiechu. Przyjechaliśmy razem, w jego samochodzie, prowadzonym przez jego kierowcę, ale wysiadłam wcześniej za rogiem ulicy, przy której mieścił się dom mamy, żeby nas ze sobą nie łączono. Po prostu uznaliśmy, że jeszcze nie czas na dawanie paliwa do plotek.

— Dzisiaj natomiast — kontynuował admirał Darcy — mamy zaszczyt gościć w naszych progach Clerka z Northamptonshire Lieutenancy, który przybył zaaprobować ułożony przez nas plan wizyty Jej Królewskiej Mości, udzielić Komitetowi Powitalnemu wskazówek protokolarnych i zdecydować o porządku usadzenia gości przy stole.

— Admirale. — Mavis Enderbury uniosła rękę. — Czy na obiedzie proszonym znajdzie się miejsce dla moich aktów... strzelistych?

— Za wszelką cenę chce siedzieć obok przeklętej królowej — syknęła do Uny mama.

Gdy mowa dobiegła końca, a wszyscy zaczęli się rozchodzić, razem z tłumem zawróciła mama i zaraz mnie dostrzegła. Jej wzrok powędrował prosto na moje piersi i brzuch.

— Bridget? — zapytała bez ogródek. — Jesteś w ciąży?

Oj! Czy to już tak bardzo widać? Ale Mark, Daniel, Tom, Miranda i Shazzer zgodnie twierdzili, że jeszcze wcale.

— Jasna sprawa, ciąża jak byk, Pam! — stwierdziła Una.

— Po co to powiedziałaś? — zapytałam, czując, jak mnie mdli.

— Och, Bridget! — wykrzyknęła uszczęśliwiona mama. — Och, cóż za idealny moment! — Znienacka w jej spojrzeniu pojawiła się figlarna nieśmiałość. — To Marka? Jakbyś chciała wiedzieć, to on tu jest. Tak sobie tu rozmawiałyśmy, że teraz, gdy zerwał z tą okropną intelektualistką, to może dacie sobie jeszcze jedną szansę... Pamiętaj, jak bawiłaś się z nim w brodziku? Bridget, to dziecko Marka?

— Może. To znaczy, szanse są pięćdziesiąt na pięćdziesiąt.

Kątem oka zobaczyłam, jak Mavis Enderbury przysłuchuje się naszej rozmowie z błyskiem złego triumfu w ślepiach.

— Szanse „pięćdziesiąt na pięćdziesiąt”? — zdumiała się mama. — Bridget! Poszliście we troje do łóżka?

W domu mamy i taty dramat i łzy.

— Przez całe twoje dorosłe życie cierpliwie czekałam, aż będziesz miała dzidziusia, ale nie myślałam, że dowiem się o tym w taki sposób, i to na oczach całej śmietanki Grafton Underwood oraz Mavis Enderbury. Nigdy jeszcze nikt tak mnie nie poniżył.

— Ależ Pam — próbował łagodzić sytuację tato — przecież tu chodzi o dziecko. O naszego wnuka. Zawsze chciałaś mieć wnuki.

— Ale nie w ten sposób — zawodziła mama. — To nie tak miało być.

— Przebadałaś się? — wypaliła Una. — Wiesz, że w twoim wieku może się urodzić mongol?

— Una! — zaprotestowałam. — W naszej epoce, w naszych czasach już się nie mówi „mongol”. Mamo, nie chciałam cię stawiać w kłopotliwej sytuacji. Rozpytałam się i wiarygodne źródła poinformowały mnie, że dla niewycwiczonego oka brzuch jest niedostrzegalny. Przybyłam pod kamień Ethelreda, ponieważ nie dawałaś mi z nim spokoju i chciałam ci w ten sposób okazać swoje wsparcie. Przecież zamierzałam ci powiedzieć, ale w bardziej sprzyjających okolicznościach, tu, w domu, w obecności rodziny. To jest dziecko. To jest nowe życie. To jest twój wnuk. Myślałam, że będziesz

zadowolona. Jeżeli masz zamiar w taki sposób się zachowywać, to spadam stąd.

Kiedy kompletnie rozjuszona maszerowałam do miejsca, gdzie czekał samochód Marka, mijając po drodze posiadłość admirała i Elaine Darcych, zza wysokiego ligustrowego żywopłotu dobiegły mnie podniesione głosy.

— Co to za cyrk, chłopcze? To nie jest jakiś port na Karaibach, a my nie jesteśmy piratami! Wystawiłeś na szwank całą wizytę tej tam... królowej i przez ciebie wyszliśmy na cholernych durniów!

— Drogi admirałe... — usłyszałam napominania Elaine Darcy.

— Patrz na mnie, gdy do ciebie mówię, chłopcze. Co się z tobą dzieje?

— Ojczy, wyjaśniłem ci już, jak wygląda sytuacja, i obawiam się, że nic więcej nie mam ci do powiedzenia. Do widzenia.

Na moment zapanowała cisza. Po chwili usłyszałam zgrzytanie kroków Marka na żwirze, a potem w tle głos admirała:

— Dlaczego po prostu nie mógł trzymać się swojego małżeństwa, a potem, cholera, rozmnożyć się jak wszyscy inni? Nie wydaje ci się, że on jest pedałem?

— Cóż, ty chciałeś go posłać do Eton, kochanie.

— Co? O czym ty, cholera, gadasz?

— Nigdy sobie tego nie wybaczę.

— Czego? Niby czego, kobieto?

— Wszystkich tych niań i szkół z internatem, na które scedowałeś odpowiedzialność za wychowanie mojego jedyne go syna.

Znów zapadła cisza.

— Tak czy siak — powiedział na koniec admirał. — Świetnie, po prostu świetnie. Królowo Śniegu.

Jak się okazało, tato wyszedł za mną z domu i znalazł mnie przyczajoną pod żywopłotem.

— Usiądźmy gdzieś, małpko.

Zostawiliśmy za sobą dom Darcych, przeszliśmy kawałek i usiedliśmy na trawie, nad brzegiem strumienia.

— Nie przejmuj się mamą. Wiesz, jaka ona jest: walnięta jak kilo gwoździ. Dojdzie do siebie, jak tylko oswoi się z całą sprawą.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. W tle szemrał strumień, śpiewały ptaki, z oddali dolatywały ludzkie głosy: piękna sceneria w dawnym stylu.

— Ludzie zazwyczaj nie wytrzymują pod naciskiem oczekiwań. Za każdym razem, że trzeba to, że trzeba tamto. Cała sztuczka polega na tym, żeby skoncentrować się na tym, co jest, a nie na tym, co ma być. Powiedz mi, zawsze chciałaś mieć dziecko, nie?

— Cóż, „zawsze” to w tym wypadku znaczy mniej więcej raz na trzy lata przez mniej więcej dwie godziny — odparłam głupawo. — Ale teraz zrozumiałam, że tak, chcę.

— No i teraz będziesz je miała. I będzie to najszczęśliwsze dziecko na świecie, ponieważ będzie miało ciebie za matkę. Nie potrafię wyobrazić sobie bardziej kochającej i lepszej matki niż ty... pomyśl, ile z tobą zabawy będzie miał ten mały człowieczek. Dobra, idź sobie teraz, zrób, co musisz zrobić, i nie daj sobie mieszać w głowie. Obiecuję ci, że wszystko się dobrze skończy.

Tato odprowadził mnie do samochodu Marka, przy którym czekał szofer, a na koniec przyrzekł, że nic nie powie mamie. Gdy pojawił się Mark, zdenerwowany i roztrzęsiony, tato parę razy klepnął go po męsku w ramię i obdarzył porozumiewawczym uśmiechem. Ale nie odezwał się ani słowem. Na tym polega geniusz taty. Wiedział, że Mark źle zareaguje na wszystko, co mógłby powiedzieć, a poza tym wszelkie słowa i tak będą na nic.

Postanowiłam posłuchać ojcowskiej mądrości. Gdy samochód ruszył z cichym pomrukiem, oparłam głowę na ramieniu Marka i przymknęłam powieki. I jestem pewna, że kiedy już zasypiałam, Mark szepnął:

— Nawet jeśli to syn Daniela, i tak chcę być jego ojcem.

4 LISTOPADA, SOBOTA

17.00. Właśnie wróciłam z zakupami dla dziecka z domu towarowego John Lewis, gdzie wybrałam się z Markiem i Danielem. Zawsze mi powtarzali, że jeśli stanie się coś złego, należy iść do Johna Lewisa, ponieważ u Johna Lewisa nie dzieje się nigdy nic złego.

Mark trzymał naręcze książek o dzieciach oraz pudło muślinowych dziecięcych kocyków, na którym widniał napis: „Przytulne powijaki”.

— Powijaki? — zapytał z niedowierzaniem Daniel, unosząc do góry miniaturowy strój piłkarza Chelsea. — Będiesz go powijała?

— Całkiem sensowna metoda postępowania z dzieckiem — stwierdził Mark tonem eksperta, który został wezwany, żeby rozważyć wszystkie za i przeciw interwencji militarnej oraz pokojowych negocjacji — jeżeli tylko nie owijać go zbyt ciasno.

— ...i jeśli jesteś egipską chłopką z czwartego wieku przed naszą erą.

— Dziecko wtedy lepiej sypia — dodał Mark, biorąc do ręki podgrzewacz do pieluch i ewidentnie zachowując się, jakby Daniela w ogóle z nami nie było.

— Co? Przywiązane do deski? Nie zalatuje wam to za bardzo Abu Ghraib?

— No tak, nie masz śladu wyczucia, co się mieści, a co się nie mieści w kategoriach odpowiedniego żartu, zresztą twoje pojęcie „żartu” też pozostawia wiele do życzenia. Zapewne pozwolilibyś dzieciakowi płakać całą noc, póki nie zasnąłby dzięki whiskey wlewanej mu do gardła łyżeczkami.

— Uważaj, co mówisz!

Szybko zostali wyproszeni ze sklepu przez ochronę Johna Lewisa. Nic złego nie może się stać u Johna Lewisa. Niestety, inne miejsca tego nie gwarantują.

12 LISTOPADA, NIEDZIELA

17.00. W domu. Chwilę po powrocie z kursów rodzenia. Mark się spóźnił, wpadł jak po ogień z neseserem w dłoni, telefonem przy uchu i nie przerywając rozmowy, ledwie zaszczyił mnie oraz Daniela skinieniem głowy.

— Wyłącz to, Darcy. Grzeczny chłopiec — powiedział Daniel.

Zarejestrowaliśmy się, a potem wpadliśmy do środka przez dwuskrzydłowe drzwi, za którymi instruktorka stała przed stołem i demonstrowała gumowy model dolnych partii kobiecego ciała. Za rzędami stołów siedziały pary, zmagając się z zadaniem zawinięcia w pieluszkę plastikowego niemowlaka.

— Ach! — powiedziała instruktorka na nasz widok. — Witam. Znajdźcie sobie dziecko w tamtym koszu!

W koszu zostało już tylko jedno dziecko z brązowego plastiku.

— Gdybyśmy przyszli wcześniej, może by się nam trafiło białe dziecko — szepnął Daniel, skupiając na sobie wstrząśnięte spojrzenia kilku par.

— Daniel! — syknęłam. — Zamknij się!

— Dobra! — powiedziała instruktorka, przechodząc nad całą sprawą do porządku. — Kogo tu mamy? Mark? Daniel? Jesteście dzisiaj już drugą parą tej samej płci.

Po sali poniósł się rzadki grzecznościowy aplauz, a Daniel wyszczerzył się, widząc wyraz twarzy Marka.

— I Bridget, tak? Ty jesteś surogatką? Witamy!

Uznałam, że nie jest to najlepszy moment na wyjaśnienia tej akurat kwestii, więc tylko uśmiechnęłam się wymijająco, podczas gdy wokół nas reszta uczestników kursu zabrała się do przestawiania krzeseł.

— Nie — odezwał się znieczeka Mark — nie jesteśmy parą.

Zapadła chwila ciszy, podczas której wszystkie oczy wlepiły się w nas.

— Dobra... a... więc...? — pogubiła się instruktorka. — Aha, ty i Bridget jesteście parą?

— Nie.

— Czyli Daniel i Bridget są...

— Żadne z nas trojga nie jest parą — wyjaśniłam. — Spałam z oboma i nie mam pojęcia, który jest...

— Och! A więc obaj zdecydowaliście się na prawdziwy stosunek seksualny z surogatką! To doprawdy niezwykle! Tak czy siak, serdecznie witamy tu wszystkich przybywających!

— Przybywających na ten świat — rzucił Daniel.

— Może rozpoczniemy, dobrze? — Uniosła gumowy model ginekologiczny. — Jak się nazywa ujście macicy? Ktoś wie?

Daniel podniósł rękę.

— Pochwa!

— Hm, no... nie.

— Szyjka — powiedział Mark.

— Szyjka. Dokładnie! A ujście szyjki?

— Pochwa! — triumfalnie powtórzył Daniel.

— Tak! Albo, jak my to nazwiemy, kanał rodny, a z perspektywy dziecka wyjście na nowy świat.

— Na każdą rzecz można spojrzeć z dwóch punktów widzenia — skomentował Daniel.

Instruktorka tymczasem już trzymała w jednym ręku dziecko, a w drugim oderzniętą gumową połówkę kobiety. Szczerze mówiąc, to w tym momencie zwątpiłam, jak normalne związki międzyludzkie mogą wyjść cało z kursu rodzenia.

— Dobrze! Więc przyjrzyjmy się, co tak naprawdę się dzieje, gdy dziecko jest w drodze. Najpierw musi dojść do rozwarcia kanałów rodnych. — Wepchnęła dziecko głową naprzód w gumową półkobietę. — Może ktoś się zgłosi na ochotnika do roli doktora? Może ty, Daniel?

— ...skoro już i tak rozwieranie pochew stało się dziełem twego życia — mruknął Mark.

— OK! Świetnie! A więc, panie doktorze? Niech pan włoży tu rękę.

Poprowadziła rękę Daniela do wnętrza „kanału rodniego” gumowej damy.

— A dziecko równocześnie prze stąd. Czuje pan dziecko?

— Strasznie mi przykro — stwierdził Daniel, wierząc dłonią w gumowym kanale rodnym. — Ale chyba nie potrafię go dosięgnąć.

Mark uśmiechał się złośliwie, a tymczasem Daniel próbował wepchnąć rękę głębiej, natomiast instruktorka spychała dziecko w dół.

— Noż kurde! — wkurzyła się instruktorka, zniechęca prezentując nam opryskliwą stronę swej osobowości. — To się dzieje za każdym, cholernym razem. Od kiedy proszę o inny model? Ale tak właśnie działa Fundusz Zdrowia. Żadna nie ma takiej małej pochwy.

— Widać, że nigdy nie byłeś w Ping Pong Puck w Bangkoku — zauważył Daniel.

— O. Mój. Boże! — powiedziała instruktorka, przyglądając się Danielowi z niedowierzaniem. — O mój Boże. Ty jesteś tym człowiekiem z tamtego programu podróżniczego! Mam rację, no nie? Widziałam cię w tym odcinku z Bangkoku! Był odlotowy! Daniel Cleaver!

Teraz już wszyscy patrzyli w Daniela jak w obrazek.

— Robisz jakiś następny show?

— Cóż, raczej nie — wyjaśnił Daniel, równocześnie próbując uwolnić rękę z kanału rodnoego. — Właśnie napisałem powieść. Ma tytuł *Poetyka...*

— Dobra, to by było na tyle — oświadczył w tym momencie Mark. — Tego nie da się znieść. Wychodzę.

Staliśmy we trójkę na ulicy w deszczu siąpiącym na głowy, obok z rykiem przejeżdżały ciężarówki i autobusy.

— Jesteś imbecylem, zachowujesz się jak dziecko — Mark z wściekłością rugał Daniela.

— Cóż, sama prosiła, żeby zadawać pytania.

— Absolutnie nie zgadzam się na to, żeby mnie stawiano w tego rodzaju żenujących sytuacjach w towarzystwie tego groteskowego...

— Cóż, weź się i wypisz z tego, panno D. I tak wszyscy wiedzą, że nie masz żołnierzyków. Od lat strzelasz ślepakami.

— Uważaj, co mówisz — powiedział Mark.

— Dominująca sperma zwycięża wszystkie pozostałe.

Mark wykonał taki gest, jakby chciał go uderzyć.

— Mark, przestań! — wtrąciłam się.

Obaj przez chwilę stali naprzeciw siebie, zgarbieni w ramionach niczym bokserzy.

Naprawdę miałam już tego dosyć. Żaden z nich nie zauważył taksówki, która nadjeżdżała z włączonymi światłami.

— Cześć! — rzuciłam, gdy się zatrzymała. — Pogadamy kiedy indziej.

— Czekaj! Bridget! — zawołał Mark.

— Jestem już tym po prostu zmęczona — odparłam. — Dzięki za przybycie, chłopcy. Pogadamy kiedy indziej.

Gdy po chwili wyjrzałam przez tylną szybę taksówki, zobaczyłam, że chyba już przestali się kłócić i zamiast tego Daniel intensywnie tłumaczył coś Markowi. A potem nagle Mark odwrócił się na pięcie i odszedł.

22.00. W domu. No świetnie! Dzwonek do drzwi. Może to Mark?

To nie był Mark, tylko kurier z listem od Marka.

Mark jest jedyną znaną mi osobą, która wciąż pisuje listy: piórem wiecznym, na wytłaczanej papeterii.

Droga Bridget!

Obecna sytuacja nie może utrzymywać się dłużej. Wyznałem Ci, jakie są moje uczucia względem Ciebie i dziecka, ale jasne jest chyba, że nie widzę dla siebie żadnej roli w tym groteskowym i rozpasanym scenariuszu. Moją troskę o Ciebie i Twoje szczęście powściąga świadomość, że gdybyś wcześniej potraktowała mnie w sposób uczciwy i otwarty, uniknęlibyśmy wielu nerwowych sytuacji i nieporozumień.

Najważniejszą dla Ciebie sprawą powinno teraz być unikanie dalszych szaleństw i odpoczynek oraz troska o nienarodzone dziecko. Gdybym mógł Ci służyć jakąkolwiek pomocą finansową i innego rodzaju wsparciem, daj mi tylko znać, a ja wywiążę się z powyższego zobowiązania.

Twój na zawsze

Mark

DZIEWIĘĆ

Chaos i bezhołowie

13 LISTOPADA, PONIEDZIAŁEK

10.15. W redakcji *Sit Up Britain*. Właśnie dotarłam do pracy. Już dłużej nie mogę. Nie mogę dziś pracować, targana od wewnątrz następującymi rzeczami:

1) Narastającymi potrzebami dziecka, które obejmują: ziemniaki zapiekane z serem, korniszony oraz — całkiem niespodziewanie — wódkę.

2) Kompletnie skonfundowanym i złamanym sercem. Jak Mark mógł napisać do mnie taki list? I to zaraz po tym, jak mi było z nim tak słodko w drodze powrotnej z Grafton Underwood. Dlaczego? Co się stało? Czemu nie odpowiada na moje esemesy? Może naprawdę uważa mnie za łajzę i zdirę, a obecność Daniela tylko przypomina mu o tych stronach mojej osobowości, za którymi nie przepada?

Ukradkowo, pod biurkiem, zaFaceTime'owałam do Toma.

— Nie jesteś ani łajzą, ani zdirą — wytłumaczył mi Tom przez FaceTime'a. — Jesteś wysokiej klasy producentką wiadomości, a jeśli chodzi o tamte inne kwestie, to praktycznie rzecz biorąc, żyjesz jak zakonnica. Musisz zagrać w Przynajmniej. Pamiętasz? To, co mi pokazałaś, gdy jęczałem od tortur fundowanych mi przez Pretensjonalnego Jerome'a. Przynajmniej... Przynajmniej mam to, tamto czy owo. Od razu poczujesz się lepiej...

— Tak! Tak! — przytaknęłam, czując, że od razu robi mi się lepiej. — Dzięki, Tom.

Wylogowałam się z FaceTime'a.

FaceTime zgłosił się znowu: Tom.

— Bridge, jeszcze taka jedna uwaga. Nigdy nie rozmawiaj z nikim na FaceTimie, trzymając telefon pod tym kątem.

Tom zniknął, żeby za moment znów pojawić się na FaceTimie.

— Jestem okropnym człowiekiem, nieprawdaż?

— Bridget, do roboty — usłyszałam głos Richarda Fincha, który przeszedł obok mego biurka, zerkając przy okazji na cycki.

Szybko wysłałam Tomowi esemesa następującej treści: „Nie, jesteś bardzo miłym człowiekiem”, a potem zaczęłam szaleńczo uderzać w klawiaturę i intensywnie wpatrywać się w ekran — nikt na całym

świecie nie domyśliliby się, że zamiast realizowania roboczego planu dnia robię coś innego.

PRZYNAJMNIEM:

Mam dziecko.

Wszystko jeszcze może ułożyć się z Markiem — niewykluczone, że to tylko chwilowe załamanie.

Daniel wciąż wchodzi w grę, więc dziecko będzie miało chociaż jednego ojca.

Daniel może się zmienić.

Mam własne mieszkanie.

Mam swój samochód.

Mam kochanego tatę.

Mama może się zmienić i zacząć być szczęśliwa z powodu dziecka, zamiast dostawać szału na punkcie wizyty królowej.

Otoczają mnie przyjaciele, w ich liczbie zarówno Single, jak i Dęci Małżonkowie, którzy stanowią dla mnie rozszerzoną, kochającą się rodzinę żywcem wyjętą z Trzeciego Świata.

Mam dobrą pracę, w której nikt, oprócz Mirandy, nie wie jeszcze, że jestem w ciąży.

— Są ogromne — usłyszałam za plecami czyjś sceniczny szept.

— Łał, chłopie. I prawdziwe, prawdziwiutkie.

— Przyjrzyj się, Jordan. Z tego punktu widzenia, na tle logo: kiedyś ich czubki ledwie dotykały „p” w *Sit Up Britain*, a teraz już swobodnie zasłaniają „B”.

— Łał. Niezły czad, ziomek.

— Naprawdę, są, kurwa, ogro...

— Łał. Ostra jazda, ziomek.

Odwróciłam się gwałtownie. Richard Finch poszeptywał sobie z jednym z tych młodych gości z koczkami.

— O czym mówicie?

— O niczym.

— Richard! Wiem, że gadacie o moich cyckach.

— Nieprawda!

— Właśnie, że tak.

— Nieprawda!

— To jest seksizm. I molestowanie.

— Komentowałem właśnie całkowicie naturalne zjawisko — bronił się Richard. — Jeżeli człowiek zobaczy zniecka piętrowy autobus o rozmiarach dwukrotnie większych od normalnego, to ma chyba prawo coś na ten temat powiedzieć, nie?

— Nie jestem autobusem. Jestem istotą ludzką. W każdym razie wybaczenie mi, ale muszę siusiu.

W tym momencie Richard przeżył jedną z tych rzadkich chwil, gdy w jego głowie zaświtała myśl.

— Jesteś W CIAŻY? — zawołał.

Zapadła cisza, która wprost dźwięczała w uszach. Odwróciłam się, oczekując, że zobaczę wszystkie oczy wpatrzone we mnie, ale w tym momencie do redakcji weszła akurat Peri Campos.

To już było dla mnie za dużo. Dziecko zaprotestowało przeciwko ziemniakom zapiekany z serem i cappuccino, skutkiem czego na oczach wszystkich zwymiotowałam do najbliższego kosza na śmieci.

20.00. W domu. Oto lista ludzi, którzy zostali zwolnieni wskutek „cięć” Peri Campos.

June z recepcji (siedemnaście lat w *Sit Up Britain*).

Harry, kierowca (osiemnaście lat w *Sit Up Britain*).

Julian. Owszem, zdarzało mu się zapomnieć nas poinformować, że jesteśmy na wizji, nie do końca odróżniał „kamerę w lewo” od „kamery w prawo”, ale, było nie było, przez dwadzieścia lat mozolnie się tego uczył.

Kiedy narada dobiegła końca i wszyscy zbierali się do wyjścia, Peri Campos odwołała mnie na bok.

— HR zna przypadki pracownic zachodzących w ciążę w obliczu możliwości zwolnienia. Choć najczęściej pracownice, którym grozi zwolnienie, są zbyt stare, żeby zająć w ciążę. Tak czy siak, niech ci się nie wydaje, że możesz wyciąć taki numer.

Zwróciła się do pozostałych:

— Hej, ludzie! Ostatnia rzecz! Od jutra zaczynamy pracę o godzinę wcześniej.

No wiecie co?! Przecież każdy wie, że w mediach zaczyna się pracę później, bo wszyscy są tacy bohemiaści i kreatywni. W piątek

zarejestrowałam się na USG jako pierwsza w kolejce, żeby przyjść tam o ósmej rano i móc być w pracy koło jedenastej.

Och, daj spokój, wszystko będzie dobrze. Dotrę tu nie później niż o 9.30. Czyli wcześniej niż trzeba!

15 LISTOPADA, ŚRODA

Liczba esemesów wysłanych do Marka: 7. Liczba odpowiedzi od Marka: 0.

Właśnie dzwoniłam do Marka do biura i dodzwoniłam się do jego asystenta z Oxbridge, Freddo.

— No, tak — zaczął Freddo swoim dźwięcznym tenorem. — No... Przez kilka tygodni nie będzie go w biurze. Nie wiadomo, gdzie jest.

— W jakimś okropnym miejscu?

— No, nie, tylko, no... straciliśmy z nim kontakt. Bardzo śmieszne.

Doprawdy dziwne. Och, esemes.

Bezmózgi Daniel nie odpowiadać

Gotowa na jutrzejsze USG, Jones? Posłuchamy naszego pociągu w tunelu?

Wychodzi na to, że znowu zostaliśmy z Danielem sami. Przynajmniej pamiętał. Może się zmienił.

16 LISTOPADA, CZWARTEK

8.00. Poczekalnia w szpitalu. Daniela nie ma.

8.10. Daniela wciąż nie ma. O Boże, o Boże, o Boże. Za pięćdziesiąt pięć minut mam być w pracy. Peri Campos mnie zabije, pożre żywcem.

8.20. Przed chwilą pani z rejestracji poinformowała mnie:

— Proszę wejść do gabinetu, bo inaczej przypadnie pani kolejka.

Właśnie zbierałam swoje rzeczy, gdy do środka wpadł Daniel z wypisanym na twarzy paskudnym nastrojem (cóż, nie w literalnym sensie, gdyż mogłoby to wyglądać dziwnie).

— Piekielne korki, całe miasto w cholereę zablokowane. Dlaczego musiałaś sobie wybrać tak wczesną porę, Jones? Dobra, dawaj, miejmy to z głowy. A tak w ogóle, gdzie jest Darcy?

— Nie ma go.

Jakoś nie wydawało mi się szczególnie dobrym pomysłem uświadamianie Daniela, że Mark wypadł z gry — to tak, jak w pracy, kiedy próbuje się zarazić innych jakimś pomysłem i jedna osoba się wycofa, a za nią idą wszyscy pozostali. Zdecydowanie lepiej mu nie mówić.

— Nie ma Darcy'ego?

— Mark nie przyjdzie — wypaliłam. — Napisał do mnie list. Nie chce już brać w tym udziału.

W oczach Daniela dostrzegłam przelotny błysk triumfu.

— Tu chodzi o ego. W przypadku panny Darcy zawsze chodzi o ego.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Nic, nic, tylko ten kurs rodzenia.

— Mogłeś go przeprosić — zauważyłam.

— Za co, Jones? To była świetna zabawa, najlepsza. Wszyscy mieli ubaw, z wyjątkiem panny D. Zresztą to jego wina. Naprawdę nie musiał traktować całej sprawy jak jakiejś egzekucji gdzieś w zapuszczonym więzieniu w Arabii.

Poczułam się okropnie, gdy mi powiedziano, że dr Rawlings jest przy dziecku (założyłam, że jako ginekolog odbiera poród, a nie, że

opiekuje się jakimś dzieckiem). Nie potrafiłam zrozumieć, skąd u mnie to nagłe ukłucie zazdrości wobec tego nieznanego dziecka i samej dr Rawlings — jakby mnie zdradzała. A co gorsza, obsługiwał nas technik, więc Daniel nie miał z kim flirtować i wyglądał, jakby w jednej chwili uszło z niego powietrze. Bez Marka, z którym mógłby współzawodniczyć, tylko mechanicznie odbębniał obowiązek.

Ja tymczasem byłam tak przepelniona miłością i urzeczona widokiem naszego rosnącego, kochanego cudu — okrągłej główki, małego noska i rączek — że zupełnie straciłam poczucie czasu.

— Ojoj! — wyrwało mi się, kiedy znaleźliśmy się wreszcie na ulicy. — Jest 9.15... piętnaście minut temu miałam być w pracy.

— OK, OK. Nie denerwuj się niepotrzebnie. Odwiozę cię — pocieszył mnie Daniel, dodając pod nosem: — Nieważne moje szczotki, moja korekta. *Sit Up Britain* zawsze na pierwszym miejscu.

Nasza wspólna podróż samochodem pod wszelkimi względami zasługiwała na miano pełnej napięcia. Ja próbowałam zmusić myślą zegar na desce rozdzielczej, żeby szedł do tyłu, i podobną metodą usunąć z naszej drogi ciężarówkę i rowery, bo wiedziałam, że od pół godziny powinnam być już w pracy. Daniel zatopiony był w myślach i podenerwowany, bez przerwy włączał jakieś przyciski, przyspieszał gwałtownie i zwalniał, aż zaczęłam się obawiać, że zaraz mnie znowu zemdli.

Gdy dojechaliśmy pod budynek *Sit Up Britain*, nie ruszył się z miejsca ani nie wyłączył silnika.

— No więc dobra, Jones. Cóż, fajnie było.

— „Fajnie było”? — zdziwiłam się.

— Na razie.

— „Na razie”?

— Jones, przestań jak papuga powtarzać wszystko, co mówię.

— „Jak papuga”?

— Jones.

— Po prostu nie bardzo rozumiem. Właśnie byliśmy razem na USG, a teraz ty mówisz: „Fajnie było” i „na razie”, jakbyśmy właśnie się ze sobą przespali.

— Dobra, dobra — powiedział Daniel. — Z wami, dziewczynami,

zawsze jest tak samo, co? Z faktu, że poszliśmy razem na USG, nie wynika, że zaraz będziemy ze sobą chodzić. Nie wynika, że wszystko od razu jest na poważnie i że będziemy mieć dzieci.

— Ale my już mamy dziecko. Dlatego poszliśmy na USG.

— Nie, Jones — rzucił. — Ty masz dziecko.

Zamarłam.

— Przepraszam, przepraszam — zmitygował się. — Posłuchaj. Po prostu chyba nie dam rady. Chyba nie mam tego we krwi.

— Ale to może być twoje dziecko.

— W takim wypadku mógłbym pewnie spróbować.

— A jeśli nie jest?

— Cóż, wtedy cała sprawa wygląda inaczej. Przepraszam, przepraszam, och, daj spokój, Jones, nie patrz na mnie takim wzrokiem. Cała sprawa sprowadza się do tego, że gdybyś mi dała analnie, jak chciałem, do niczego by nie doszło.

— Daniel. Jak dla mnie, to możesz wsadzić sobie w dupę swoją buzię — oznajmiłam, wysiadając z samochodu. — Gdybym miała do wyboru, czy mieć dziecko z tobą, czy z Peri Campos, wybrałabym Peri Campos.

Kompletnie spóźniona, z wirem w głowie po sprzeczce z Danielem, pospieszyłam na siódme piętro, gdzie porwałam plik jakichś papierów; trzymając je na wysokości brzucha — żeby stworzyć pozytywne wrażenie osoby, która właśnie wyszła z USG, a poza tym wcale nie jest spóźniona i wcale nie jest w ciąży — weszłam jak gdyby nigdy nic do redakcji. Tam niestety trafiłam akurat w sam środek narady z udziałem Peri Campos i całej obsady *Sit Up Britain*.

— To jest super, to jest dopięte w szczegółach, i bez tego nas NIE MA! Wody! — krzyczała Peri Campos, pusząc się przed niewielką tablicą, podczas gdy młodzież z koczkami siedziała zapatrzona w pierwszych rzędach, a stara gwardia ponuro popatrywała z tylnych.

— Bridget, jesteś spóźniona trzydzieści pięć minut, a poza tym niemodna i nudna. *Sit Up Britain* jest niemodny i nudny. Tytuł jest niemodny i nudny. Obsada jest niemodna i nudna. Kontent jest niemodny i nudny. Potrzeba nam napięcia, potrzeba nam akcji, potrzeba suspensu. Posłuchajcie: „Są małe, silne jak diabli, mogą cię zabić i masz

je wszędzie wokół siebie!”. No? Co to jest? — Potoczyła dookoła pytającym wzrokiem.

— Mrówki! — powiedział Jordan.

— Odkurzacze! — zgłosił się Richard Finch.

— Wibratory? — zapytała Miranda, a ja wybuchłam śmiechem.

— To baterie — wyjaśniła oschłym tonem Peri Campos. — Mówię do tych, którzy w odległy choć sposób orientują się w dzisiejszych newsach. Bridget, w poniedziałek o dziewiątej rano chciałabym cię widzieć w moim biurze. O dziewiątej... a nie o trzeciej po południu, nie spóźnij się, proszę.

— To się już nie powtórzy, obiecuję.

— Obiecujesz! Uwielbiam to słowo, w tym temacie naprawdę można sobie porządnie porozmawiać.

— Proszę, nie wyrzucaj jej — powiedział Richard Finch, zerkając w moją stronę i robiąc minę: — Jesteś zła?

17 LISTOPADA, PIĄTEK

20.30. W domu. Mam przecucie nadciągającej katastrofy. Zapewne wkrótce wylecę z pracy, obaj ojcowie mojego dziecka mnie nienawidzą, kompletna masakra, a poza tym jest piątkowy wieczór i jestem sama. Saaaaaama!

PRZYNAJMNIJ:

Mam dziecko.

Wszystko jeszcze może ułożyć się z Markiem — niewykluczone, że to tylko chwilowe załamanie.

~~Daniel wciąż wchodzi w grę, więc dziecko będzie miało chociaż jednego ojca.~~

~~Daniel może się zmienić.~~

Mam własne mieszkanie.

Mam swój samochód.

Mam kochanego tatę.

Mama może się zmienić i zacząć być szczęśliwa z powodu dziecka, zamiast dostawać szału na punkcie wizyty królowej.

Otoczają mnie przyjaciele, w ich liczbie zarówno Single, jak Dęci Małżonkowie, którzy stanowią dla mnie rozszerzoną, kochającą się rodzinę żywcem wyjętą z Trzeciego Świata.

Mam ~~dobrą~~ pracę (jak długo jeszcze?), w której ~~nikt, oprócz~~ ~~Mirandy, nie wie jeszcze, że jestem w ciąży.~~

Ale, o właśnie! Mam przyjaciół. Singli, z którymi mogę się bawić i śmiać! Nie ma potrzeby nurzać się w rozpacz. Po prostu zadzwonię do Shazzer.

21.00. Rozmowa z Shazzer nie poszła dobrze.

— Shaz? Tu Bridget. Wychodzicie gdzieś z Tomem wieczorem?

Po drugiej stronie zapanowało milczenie — to samo milczenie, którym częstowałam Magdę, gdy dzwoniła do mnie i próbowała (z Małżeńskim Zadęciem, a równocześnie zupełnie bezskutecznie) przyłączyć się do naszej singielskiej zabawy.

— Chodzi o to — słychać było, że jest na serio pijana — że jesteśmy w Hackney, a to trochę... daleko?

Przygryzłam wargę, łzy zakręciły mi się w oczach. Nawet mnie nie

zapytali, czy chcę z nimi pójść! Nie jestem już Singielką. Nie jestem Dętą Mężatką. Jestem wybrykiem natury!

— Bridge. Ssso jest? Coś nam przerwało?

— Dlaczego nie zapytaliście mnie, czy nie chcę iść z wami?

— No, tego... to tylko, to tylko taka mała impressska, i wogle daleko, sama wiesz, w twoim...

— W moim stanie?

W tle usłyszałam odgłosy sprzeczki. Potem telefon przejął Tom, jeszcze bardziej pijany niż Shaz.

— Tu jeft taka mafakra, rozmisz — powiedział. — Miranda...

Co? Miranda też jest z nimi, a mnie nie zaprosili?

22.00. Cała sprawa polega na tym, że kiedy człowiek czuje się wyobcowany i samotny, powinien „wyciągnąć rękę” do innych ludzi, nieprawdaż?

22.05. „Wyciągnę rękę”, wysyłając esemesa.

22.15. Oto co napisałam:

Magda, czuję się taka wyobcowana i samotna. Okazało się, że życie Singielki dla mnie już się skończyło. Potrzebuję więc moich zameżnych przyjaciółek, żeby udzieliły mi wsparcia w tym czasie próby.

Shazzer, czuję się taka wyobcowana i samotna. Mimo iż jestem w ciąży, nie stałam się przez to Dętą Mamušką i potrzebuję moich przyjaciół Singli, żeby udzieli mi wsparcia w tym czasie próby.

Mamo, czuję się taka wyobcowana i samotna. Nie dam sobie z tym rady bez wsparcia ze strony mojej drogiej, najdroższej matki. Potrzebuję jej, żeby mi pomogła w tym czasie próby.

Mark, czuję się taka wyobcowana i samotna. Nie dam sobie z tym rady bez wsparcia mojego drogiego, najdroższego Marka. Potrzebuję cię, żebyś mi pomógł w tym czasie próby.

Daniel, czuję się taka wyobcowana i samotna...

W tym momencie zasnęłam.

18 LISTOPADA, SOBOTA

11.00. W domu. Grr! Obudziła mnie nawała dzwoneków telefonicznych i dźwięków powiadomień. Gorączkowo zaczęłam rozrzucać pościel, żeby znaleźć źródła tych wszystkich odgłosów.

— Halo? — powiedziałam do słuchawki telefonu stacjonarnego, podczas gdy komórka wciąż serwowała mi kolejne dźwięki.

— Tu Magda. Byłam CAŁA happy, kiedy otrzymałam twojego esemesa. Omalże nas wszystkich NIE SKRĘCAŁO, tak się chcieliśmy dowiedzieć, co tam u ciebie, ale uznaliśmy, że ci dobrze w towarzystwie twoich przyjaciół singli, a my jesteśmy dla ciebie zbyt nudni. W każdym razie może wpadniesz dziś na lunch na Portobello? I od tego możemy zacząć cię odginać. Oczywiście, jak słusznie się obawiasz, wszyscy będą cię zamęczać szalonymi radami, ale dobrze wiesz, że nie ja.

— Hm. Jeszcze nie wstałam z łóżka, ale...

— Jesteś jeszcze w łóżku? Bridget, masz na sobie biustonosz?

— Nie. A powinnam?

— Raczej. W przeciwnym razie skończysz z piersiami pod pachami, ale pamiętaj, żeby nie był na fiszbinach.

— Czemu nie? — zapytałam, z żalem myśląc o mojej kolekcji bielizny typu *lift-and-separate* (która miała podnosić i zarazem atrakcyjnie eksponować).

— Fiszbiny zatykają kanaliki mleczone.

— Nie rozłączaj się. — Wzięłam do ręki komórkę. Dzwonił Tom.

— Tom! Cześć! Mam rozmowę na drugim telefonie. Oddzwonić?

— OK. Sprawdź swoje esemesy. Na pierwszą po południu zapraszamy cię do Elektrycznego na Krwawą Mary.

— Przepraszam, Mag — powiedziałam, przykładając słuchawkę do ucha i wracając do jej nieprzerwanego potoku słów.

— Och, i nie jedz surowych jajek.

— Po co miałabym jeść surowe jajka?

— Dobra, tak naprawdę jedyną radą, z której warto skorzystać, jest ta, żebyś się nie kładła.

— Jak mogę się nie kłaść?

— Chodzi o to, żebyś się nie kładła na plecach, ponieważ przez

plecy biegnie główna tętnica do mózgu.

Telefon komórkowy odezwał się znowu.

— Kochanie, tu mama — mówiła przez łzy — nie miałam pojęcia, że mnie potrzebujesz. Pomyślałam sobie, że mnie NIENAWIDZISZ, po tym...

— Magda, muszę już kończyć. Mam mamę na drugiej linii.

— OK, widzimy się w Elektrycznym o pierwszej.

Przyłożyłam komórkę do ucha, a w niej czekały na mnie niepoohamowane szlochy mamy.

— Kochanie, myślałam, że nie chcesz ze mną rozmawiać. Jestem taka szczęśliwa, że mnie jednak potrzebujesz, kochanie. W każdym razie, jutro po południu wybieramy się do Debenhams na zakupy, więc może przyjedziesz i wybierzemy się razem?

— O niczym innym nie marzę, ale...

Zadzwoił telefon stacjonarny.

— Mamo, muszę kończyć. Zadzwonię później.

Znowu Magda:

— I chciałam jeszcze powiedzieć tylko, żebyś nie pływała, bo to nadweręża macicę.

Zerknęłam na ekran telefonu komórkowego: niekończący się szereg polubownych uprzejmości od Toma, Shaz i Mirandy. Mieliśmy się o pierwszej spotkać w Elektrycznym, ale zaraz...

— ...och, a kiedy zaczną ci wypadać włosy — paplała bez opamiętania Magda — po prostu weź trochę oleju silnikowego i wetrzyj w głowę. W każdym razie, lepiej już się zbieraj. Widzimy się w Elektrycznym o pierwszej! Woney i Mufti też będą.

— Hm... — Czując ogarniającą mnie panikę, gorączkowo zastanawiałam się, jak z tego wybrnąć. Nie mogłam pozwolić, żeby Dęte Mamuśki wparowały do Elektrycznego razem z Tomem, Mirandą i Shaz.

— W Elektrycznym bywa trochę zbyt głośno, może spotkajmy się o drugiej... w Café 202?

— Och — powiedziała, lekko urażona. — Cóż, dobra. Choć już zdążyłam powiedzieć Mufti i Woney, ale... no nic, OK. Do zobaczenia.

Zanim zdążyłam wyjść z domu, usłyszałam dźwięk powiadomienia o przychodzącym mailu.

Od: Peri Campos

Temat: Spotkanie w poniedziałek o 9.00

Czekam w moim gabinecie w poniedziałek o 9.00 i spodziewam się, że usłyszę od ciebie sześć sensacyjnych historii, które nie będą ani niemodne, ani ogłupiająco nudne, z odpowiednimi nagłówkami, w formacie, który omawialiśmy w piątek.

Portobello Road, Notting Hill. Niechlujny przepych i tłumy zgromadzone na Portobello okazały się dla mnie po całym tym czasie ekscytujące i odświeżające: przedrożone delikatesy, kwiaciarnie i sklepy z designerskim kaszmiem stłoczone razem z kantorami bukmacherów, stoiska z czapkami w sam raz do getta i warzywami pamiętającymi wiele minionych lat.

W ciąży, która powoli zaczynała się robić widoczna, czułam się po trosze jak celebrytka: samochody zatrzymujące się z piskiem hamulców przed przejściami dla pieszych, ludzie ustępujący miejsca w metrze i zaczepiający mnie, a na ustach wszystkich te same pytania:

— Chłopiec czy dziewczynka?

— Kiedy rozwiązanie?

Oczywiście nie skąpiłam moim fanom wyrazów swej wdzięczności. Byłam niczym królowa, z tym że w ciąży, młodsza i bez szans na to, aby usiąść obok mojej mamy w Grafton Underwood.

Do Elektrycznego dotarłam w uniesieniu, a tam czekała już na mnie Shazzer z głową złożoną na blacie jednego ze stolików na zewnątrz.

— Cześć, Shaz! — powiedziałam.

Z jej gardła wydobył się cichy jęk.

— Mam TAKIEGO kaca... możesz zamówić mi Krwawą Mary? Nie potrafię unieść głowy.

— Gdzie Tom i Miranda?

— Nie wiem. Miranda poderwała kogoś. A Tom miał chyba tu przyjść stamtąd, dokąd poszedł, ale jestem na niego wściekła, bo...

O Boże. Była już 13.15 — i co z Magdą? To znaczy, zaczęłam już

kombinować, czy nie mogę się trochę spóźnić.

Weszłam do środka, żeby zamówić Krwawą Mary i herbatę miętową. Kiedy wróciłam na dwór, zobaczyłam Toma, jak złachany i nieogolony zmierza w naszą stronę krokiem kierowcy zdeterminowanego iść prosto pod czujnym okiem policjanta, który zatrzymał go i teraz sprawdza trzeźwość.

— O mój Boże — powiedział, a potem usiadł obok Shazzer i jak ona położył głowę na stole; śmierdziało od niego tequilą.

— Są wyzerowani, jeszcze pijani w trzy dupy i zabrali ci cały stół! Tom i Shazzer! — oznajmiła Miranda, która podeszła do nas krokiem sprężystym, z pozoru świeżutka i młodziutka.

— A ty nie masz kaca? — zapytałam, siadając obok tamtych przy stole.

— Kaca? Nie! Piątkową nocą trułam się tylko seksem! Dostałaś maila od Peri Campos? Kieliszek białego burgunda! — powiedziała kokieteryjnie do kelnera, który oczywiście cudownym sposobem natychmiast się pojawił. Potem zerknęła z odrazą na moją miętową herbatę. — I drugi kieliszek wina dla Bridget oraz coś do jedzenia.

— Nie mogę, jestem w ciąży — wzbraniałam się, gdy tymczasem Miranda zamawiała przypadkowe rzeczy z menu.

— Nie, nie! Sensacja z Netdocbam!.com. Dwa kieliszki wina na tydzień SĄ DOBRE DLA DZIECKA. „To jest super, to już nie szkodzi i twój płód się w tym kąpie!”

— NAPRAWDE? — ucieszyłam się. Powód radości był podwójny: treść nagłówka i drinuś.

— Ciii — szepnął Tom. — Masakrujesz mi głowę.

Mmmm. Świeże, chłodne białe wino — takie dobre!

— Co, chcesz posłuchać mojej następnej historii? — zapytała Miranda, upijając łyk z kieliszka. — Są małe, są totalnie niepohamowane i PRZYPRAWIAJĄ CIĘ O DEPRESJĘ — dzieci!

— Co? — zainteresowała się Shazzer, siadając prosto i wbijając wzrok w Toma.

— No, tak — potwierdziła Miranda z uśmiechem samozachwytu. — Rezultaty badań będą w nadchodzącym wydaniu „Nowości Psychiatrycznych”.

— Skąd zdobyłaś to wydanie?

— Ma się swoje kontakty, ziomek.

— Proszę, nie mów „ziomek” — zaprotestowałam.

— Najwyraźniej okazało się, że przez te wszystkie lata kobiety wprowadzano w błąd, każąc im myśleć, iż powodem ich depresji jest brak dzieci, podczas gdy w istocie kobiety, które rezygnują z kariery, aby mieć dzieci, zdradzają poważniejsze objawy depresji niż te, które przedłożyły karierę nad posiadanie dzieci.

— WIDZISZ, Tom? — powiedziała Shazzer i dodała: — Tom postanowił adoptować dziecko. Teraz nie wiadomo, czy to ucieczka z tonącego okrętu, czy gonitwa za modą?

— Shazzer, zamknij się, to miała być tajemnica — odparł Tom, zgrzytając zębami.

Popatrzyłam na Mirandę, wstrząśnięta do głębi.

— Och, dajcie spokój, przecież nie musicie się przejmować jakimś tam artykułem. Wszystkie tego rodzaju badania to kompletne bzdury, niemniej dla mnie to znakomity nagłówek na poniedziałek. Cała ta ich bierna agresja: „Och, och, popatrz na mnie, nic nie mogę, pomocy!”, a potem rujną ci życie: **DZIECI!**

— No właśnie! To wszystko zwykła propaganda! — nadawała Shazzer, podczas gdy ja pociągałam z kieliszka, myśląc tylko o tym, jak wino poprawia samopoczucie i że przydałoby się zamówić następny kieliszek, a do tego paczkę silk cutów. I nawet zabrałam się za zakąskę z koziego sera.

— Przez wszystkie te lata robiono nam **PRANIE MÓZGU**, wmawiając, że brak dzieci wywołuje depresję, podczas gdy tak naprawdę żadnej depresji nie miałyśmy! — radośnie paplała Shazzer.

— Ale... przecież... mieliśmy — zauważył Tom.

— Nie. Tylko nam **SIE WYDAWAŁO**, ponieważ społeczeństwo kazało nam wierzyć, że cierpimy z powodu niepowetowanej straty, podczas gdy w rzeczywistości ludzie podejmujący świadomą decyzję o nieposiadaniu dzieci wcale z tego powodu depresji nie mają — podsumowała Shazzer.

— Hura! — dodałam odruchowo. — Bezdzielne Single! Hura!

— Bridget! Co ty tu robisz? Myślałam, że byłyśmy umówione na

lunch?

Ups! Okazało się, że to Magda i Mufti. Mufti pchała wózek z dzieckiem, udekorowany mrozącą krew w żyłach ilością dziecięcego majdanu.

— Pijesz WINO?

Ukłuta poczuciem winy, skoczyłam na równe nogi, przewracając brzuchem kieliszek.

— Jej nie wolno pić wina! Nie wolno! — powiedziała Mufti.

— Szczerze mówiąc, wy, Single, jesteście kompletnie nieodpowiedzialni — oznajmiła Magda. — Ona idzie z nami. Wstawaj, Bridget.

— To kozi ser? — zapytała Mufti. — Jesz KOZI SER?

Jakby znikąd pojawiła się Woney, również z wózkiem, tyle że bez dziecka.

— Co ty tu robisz... sądziłyśmy, że jesteście umówione w Café 202? Kupiłyśmy ci wózek Bugaboo!

— O, dzięki — parsknęłam, z powątpiewaniem przyglądając się ogromnej spacerówce. Niby w jaki sposób miałabym takiego potwora wtaszczyć po schodach?

— O mój Boże, jaka ty jesteś gruba — zdziwiła się Woney. — Myślałam, że to dopiero... który to już miesiąc? Musisz się trochę opanować, bo będziesz miała okropny poród.

Magda wzięła mnie za rękę i szepnęła:

— Nie zwracaj uwagi na Woney... w ciąży w ogóle nie leżała, skutkiem czego dorobiła się żyłaków na wargach sromowych.

Na te słowa Shazzer uśmiechnęła się złośliwie.

— To dziewczynka! — wtrąciła Mufti. — Ona ma dziewczynkę! Zobaczcie, jak jej wisi brzuch.

— Nie, nie, to chłopiec. Zobaczcie, jakie ma nabrzmiące piersi.

— Chłopiec? Jaki chłopiec? Przecież jest krzywa — dodała Mufti. — Kompletnie krzywa.

— OK, dosyć — powiedziała Magda. — Jesteśmy tutaj, żeby pomóc Bridget, a nie ją torturować. Wiesz co? Znalazłyśmy ci nianię, z Europy Wschodniej. Ma dyplom z neurologii z Uniwersytetu Wileńskiego.

— Wiesz już, kto jest ojcem? — zapytała Woney. — Dziecko potrzebuje ojca.

— Posłuchajcie — warknął Tom, zionąc równocześnie nieprzetrawionym alkoholem. — To jakieś średniowiecze, te wasze wyobrażenia o wspólnym życiu dwojga heteroseksualnych partnerów przeciwnych płci.

— Osobiście wolałabym nie obciążać dziecka tego rodzaju społecznym stygmatem — stwierdziła Shaz.

Miranda na nikogo nie zwracała uwagi, przeglądając zdjęcia na Tinderze.

— Coś mi się wydaje, że wy tu jesteście trochę zgorzkniałe — oświadczyła Mufti. — Zgorzkniali.

— Dlatego, że kończąc trzydziestkę, zdjęte lękiem i w porywie czysto materialistycznych kalkulacji nie rzuciłyśmy się na pierwszego lepszego faceta? — odparowała Shaz.

— Nie, dlatego, że jesteście bezdzietne i samotne.

— Ty jesteś tą, która dorobiła się żyłaków na wargach sromowych? — odcięła się Shazzer.

Wkrótce rozpętała się prawdziwa awantura z wrzaskami i obrażaniem siebie nawzajem. Skończyło się na tym, że Magda zabrała mnie stamtąd i poszłyśmy sobie, pchając ogromny wózek-prezent — który sam przez się musiał tworzyć dość dziwne wrażenie bez dziecka w środku — a Magda przez cały czas mnie pocieszała, że wszystko będzie dobrze, gdy tylko przyjmę nianię, zresztą przyjaciółkę jej niani, Audrony z dyplomem z inżynierii lotniczej.

W pewnej chwili zobaczyłam, jak w naszą stronę — pchając przed sobą identyczny wózek Bugaboo — zmierza bardzo piękna dziewczyna, przypominająca nieco wschodnioeuropejską modelkę/księżniczkę, dla której Daniel na pewno wystawiłby mnie do wiatru, nie przychodząc na USG.

— Śliczny wózek! — rzuciłam, gdyż znienacka przyszło mi do głowy, że być może dzięki temu przedrożonemu egzemplarzowi dziecięcego akcesorium jakimś cudem zakwalifikowana zostanę do nowej, wspaniałej kasty Dętych Mamusiek.

— Śliczne maleństwo! — odpowiedziała z obcym akcentem

i najpierw zajrzała do wnętrza mojego wózka, a potem obrzuciła mnie dziwnym spojrzeniem, ponieważ w wózku oczywiście nie było żadnego maleństwa.

— Wciąż jeszcze w drodze! — zapewniłam ją, klepiąc się po brzuchu. — Ale twoje jest naprawdę cudowne.

Dziecko było rzeczywiście cudowne... choć dziwnie znajo...

— Mama — powiedziało dziecko.

— Molly! — zatchnęła się Magda. — To jest moje dziecko... co ty tu robisz z moim pierdolonym dzieckiem?

Magda w jednej chwili zabrała się za skomplikowane pasy od Bugaboo, za wszelką cenę próbując uwolnić Molly i krzycząc, aż się ludzie zaczęli oglądać:

— Ukradłaś moje dziecko!

— Nie. Proszę się nie gniewać, pani Carew! — powiedziała modelka/księżniczka. — Audrona poszła na rozmowę kwalifikacyjną w sprawie pracy. Poprosiła mnie, żebym wyszła z Molly na spacer. Mam dyplom z wczesnodziecięcej psychologii rozwojowej. Wszystko z nią w porządku, chyba sama pani widzi?

19 LISTOPADA, NIEDZIELA

14.00. W domu. Większość dnia spędziłam na przeglądaniu gazet, szukając historii, które można by przerobić na hocki-klocki, jakich domagała się ode mnie Peri Campos na nasze jutrzejsze spotkanie.

„Są śliskie, przebiegle milczące i znajdziesz je w swojej rukoli —
żaby!”

„Są wielokątne, nagle potrafią zmienić kształt i celują w twoje oczy
— parasole!”

15.00. To nie ma najmniejszego sensu. Beznadzieja. Och, esemes.

15.05. Cud! Esemes od Marka!

Mark Darcy

Bridget, jestem do głębi wstrząśnięty tym, że czujesz się wyobcowana i samotna, i przepraszam, że dopiero teraz odebrałem twój SMS-a. Mam przyjść? Czy ty wolałabyś wpaść na herbatę? Mam ci coś do pokazania.

15.10. O mój Boże. O mój Boże. Jest wspaniale. W mieszkaniu lekki bałagan. Lepiej, żeby go nie oglądał, na wypadek gdyby miało mu przyjść do głowy, jaka ze mnie chujowa pani domu. Ciekawe, co też ma mi do pokazania? — jak się wyraziła ta aktorka na temat biskupa, brr, brr.

DZIESIĘĆ

Kompletne załamanie

19 LISTOPADA, NIEDZIELA

16.30. W domu. Właśnie wróciłam od Marka. I co się wydarzyło? Czekałam na schodach, zdenerwowana, ale tym razem otworzył mi drzwi w zupełnie innym stanie niż poprzednio. Nieogolony, bosy, w jeansach i brudnym czarnym swetrze, w ręku trzymał otwartą butelkę czerwonego wina. Obrzucił mnie dziwnym wzrokiem.

— Mogę wejść? — zdołałam wreszcie z siebie wykrztusić, na co on tak jakby się spłoszył.

— Tak, tak, oczywiście, wejdź.

Poszliśmy do kuchni, a potem prosto przez rozsuwane drzwi do ogrodu, gdzie przystanął, głęboko wciągnął powietrze przez nos, udając, że rozkoszuje się kontaktem z przyrodą.

Westchnęłam. Wokół rozciągał się istic bohemisty chaos. Stosy nieumytych talerzy, kartoniki po jedzeniu na wynos, puste butelki od wina. Zapalone świece oraz... czy to możliwe... kadzidelka?

— Co się dzieje? Skąd ten bałagan? Gdzie się podziała sprzątaczką?

— Dałem wszystkim wolne. Nie potrzebuję ich. Och! — W jego oczach zalśnił dziki błysk. — Chodź tu i zobacz.

Ruszyłam za nim do salonu.

— Nawaliłem w pracy — wyznał mi tonem towarzyskiej rozmowy.

— Doprawdy? — odpowiedziałam, rozglądając się po wychuchanym ongiś salonie. Goła podłoga. Meble zakryte zasmarowanymi farbą prześcieradłami, wszędzie puszek z farbą.

— Tak. Nie dojdzie do uwolnienia Farzada. Pięć lat roboty na nic. W życiu prywatnym też się nie sprawdziłem. Zniszczyłem wszystkie związki, w których byłem. Zawiodłem jako mężczyzna i jako człowiek. Ale przynajmniej mogę malować.

Zamaszystym gestem zdarł prześcieradło z wielkiego płótna, a potem spojrzął na mnie wzrokiem radosnym i pytającym.

To było coś strasznego. Jak to badziewie, które się kupuje u Woolwortha albo przywozi z wycieczki po Hyde Parku. Na obrazie widniało coś w rodzaju zachodu słońca, jeździec galopujący przez

przybrzeżne fale i porzucona na plaży pełna zbroja.

— Co sądzisz?

Uratował mnie dzwonek telefonu. Spuściłam wzrok —
BEZMÓZGI DANIEL NIE ODPOWIADAĆ — a potem szybko
przerwałam połączenie.

— No tak, przypuszczam, że to Cleaver, co? Za każdym razem,
gdy próbuję zrobić coś dobrego, coś, co pozwoli mi żyć prawdziwym
życiem, pojawia się on i wszystko niszczy. Uczciwość, praca, bycie
przyzwoitym człowiekiem... to wszystko na nic, prawda? Urok, sława,
tylko to się liczy. Mam tylko jedno pytanie: czy on o ciebie dba?

— Nie!

— Nie pomaga ci? Może potrzebujesz pieniędzy?

Wziął słój i zaczął z niego wyciągać banknoty dwudziestofuntowe.

— Proszę, weź, mam tego mnóstwo, mam mnóstwo pieniędzy.
Weź, ile chcesz. Mnie one na nic.

— Nie chcę twoich pieniędzy! Nie jestem jakąś blacharą
z dzieckiem, która ugania się za tobą dla kasy. Jak śmiesz tak o mnie
myśleć? — Ruszyłam do drzwi. — A dla twojej informacji... nie jestem
już z Danielem Cleaverem.

— Nie jesteś?

— Nie. Sama sobie daję radę.

18.15. W domu. O-o! Właśnie przeczytałam esemesa od Daniela.
Bezmózgi Daniel nie odpowiadać

Moja kochana, kochana, kochana, etc., etc. Otrzymałam twojego
SMS-a. Z rozkoszą pomogę, etc. Dzisiaj pracuję, ale odezwę się później.
Oglądaj „*Odkrywamy sztukę jutra*” o 18.00. D

No, dajcie spokój. Rozzłościłam się nie na żarty. Przecież tu chodzi
o dziecko. Obaj uprawiali ze mną seks i żaden nie miał prezerwatywy.
Nie muszą się przecież chować we własne dupy przede mną.

18.16. Markotnie bawiłam się pilotami od TV i w końcu znalazłam
Odkrywamy sztukę jutra, i zaraz wpadłam na wstępną migawkę
z Danielem. Wyglądał na zmarnowanego, zniknęła gdzieś gładka,
iskrząca się osobowość, niemniej dalej pozostawał zadowolony z siebie

i pełen optymizmu.

— A teraz — zaczęła prezenterka — były wydawca, który stał się prezenterem programów turystycznych, a potem prezenterem programów o sztuce, przez cały czas pozostając nieugiętym kobieciarzem. Mięsożerca, który stał się wegetarianinem... a mówiąc „mięsożerca”, mam na myśli „pożeracza niewieścich serc”...

Potem była seria ujęć Daniela z różnymi kobietami, aż wreszcie kamera pokazała go siedzącego w studiu z wyrazem bezbrzeżnej wściekłości na twarzy.

— Daniel Cleaver postanowił zmierzyć się z zadaniem napisania „poważnej powieści” i debiutuje właśnie dziełem *Poetyka czasu*. Tom O’Shea! Bill Sharp! Obaj są powieściopisarzami i oczywiście wybitnymi krytykami. Powiedzcie, tak na gorąco, co sądzicie o książce?

— To jest największa kupa śmierdzącego, nienadającego się do czytania gówna, przez jaką miałem pecha przebrnąć w życiu — powiedział Tom O’Shea.

— Bill?

Obaj krytycy siedzieli obok prezenterki, ich twarze skrzepły w grymas zatroskania.

— To jest neurobotyczny, neretyczny, emfatyczny, truistyczny, wierutny, bezduszny i makakofemiczny...

— Mógłbyś przetłumaczyć, Bill? — zapytała prezenterka.

— Kompletnie nieczytelne wycieczki — podsumował Bill Sharp.

— Cóż... może posłuchamy fragmentu, żeby każdy mógł wyrobić sobie swoje zdanie, dobrze? — zaproponowała prezenterka.

Poleciał klip z Danielem, który na tle półki z książkami z powagą odczytał z *Poetyki czasu*:

„Wichry wrzasnęły diabelskim całunem, gdy ptaki zakrakały między rozrzuconymi nogami Weroniki. Żarliśmy, na surowo. A oczy miała wielkie”.

Po studiu poniosły się wybuchy śmiechu. Potem było cięcie na Toma O’Shea i Billa Sharpa, którzy ledwie trzymali twarz, oraz Daniela, wijącego się między nimi a prezenterką.

18.30. OMG. Odgłos klucza przekręcanego w zamku. Może to włamywacze?

— Halo-o! — Moja matka. Zapomniałam, że dałam jej zapasowe klucze. — Cześć, kochanie — powiedziała mama, wpadając do środka z naręczem toreb z zakupami. — No cóż, włącz czajnik!

W mojej głowie zawirowały myśli: „Są elektryczne, są śmiertelnie groźne...”.

— Byłam właśnie w Debenhams na zakupach i jakoś tak zaszło mi się do działu matki i dziecka, i ta-tam!

Wyciągnęła bluzkę ciążową w ogromnym rozmiarze, stylem przypominającą trochę tę, którą nosiła księżna Diana, gdy się spodziewała księcia Williama, a epoka była taka, że wszyscy uważali, iż brzuch należy ukrywać, a nie smarować kremem samoopalającym i demonstrować na okładce „Vanity Fair”.

— Widzisz? — zapytała, przymierzając bluzkę do mojej figury. — Znacznie lepiej będziesz wyglądać w czymś, co cię przykryje, ponieważ nie będziesz wtedy taka...

— Gruba? — dokończyłam za nią.

— Cóż, mamusi przybyło parę kilogramów, nieprawdaż? Oczywiście ja nie miałam takich problemów. Doktor kazał mi jeść desery Bird's custard i blanc manger, żebym trochę nabrała ciała.

— Dziecko musi się dobrze odżywiać.

— A synek na to: „To nie ja jestem nienasycony jedzenia, to mamusia”.

— Mamo. Przestań. Dlaczego przy tobie zawsze czuję się tak, jakbym zrobiła coś złego? Dlaczego zawsze próbujesz mnie ubierać po swojemu...

Osunęła się na sofę i wybuchła płaczem.

— Mamo, o co chodzi? — zapytałam, siadając obok i otaczając ją ramieniem.

— Chodzi o całą tę sprawę z dzieckiem. Zrozum, że ze wszystkich sił chciałabym ci pomóc, kochanie, gdybyś tylko zechciała robić wszystko jak normalni ludzie... Po prostu wszystko mi się nagle rozsypało. Wszystko! A tak bardzo, tak bardzo chciałam siedzieć obok królowej.

— Już dobrze, dobrze — uspokajałam ją, głaszcząc po głowie. — Ale dlaczego to miejsce obok królowej jest dla ciebie takie ważne?

— Bo gdybym mogła usiąść obok królowej, to by oznaczało, że jestem kimś, że coś znaczę. Nigdy nic nie znaczyłam. A przez całe swoje małżeństwo naprawdę ciężko pracowałam dla wioski... piekłam, robiłam przetwory i wszystko, a teraz, żeby chociaż...

— Jak państwowe honory dla stulatki czy coś w tym stylu?

— Nie nazywaj mnie STULATKĄ, kochanie!

— Nie, nie o to mi chodziło... jak komandor Orderu Imperium Brytyjskiego czy Druhna Królowej. Oficjalne świadectwo własnej wartości.

Pokiwała głową, ocierając oczy.

— Admirał mówi, że o tym, kto zasiądzie za stołem królowej, zdecyduje głosowanie. Chodzi mi o to, że miałam nadzieję, że jakoś wszystko naprostujesz, że dowiesz się, kim JEST ojciec... być może dziecko jednak JEST Marka... i czy nie byłoby najlepiej dla nas wszystkich, gdybyś pojawiła się na debacie poprzedzającej głosowanie i powiedziała, że dziecko jest Marka? Zrobisz tak? Zrobisz to dla mnie, kochanie? I jeszcze chciałam cię prosić, żebyś przyjechała, jak będą oficjalnie roztrząsać, kto gdzie usiadzie.

— Mamo, jutro rano mam ważne spotkanie w pracy. Muszę się wyspać.

— W porządku, tak czy siak, muszę wracać do taty. Przyjedziesz, kochanie, na debatę?

— Spróbuję.

— ...i włożysz tę bluzkę?

Na moje szczęście rozległ się dzwonek telefonu.

— Lepiej, jak odbiorę, bo pewnie dzwonią z pracy — powiedziałam. — Cześć, mamo.

Pocałowała mnie na pożegnanie i zaraz się wyniosła, zostawiwszy jednak bluzkę.

21.00. Dzwonił Daniel.

— Chryste, Jones, widziałaś tę rzeźnię? Od początku wszystko mi wyglądało na zaplanowaną próbę zabójstwa. Bill Sharp nic innego nie robi w życiu, tylko próbuje wszystkim udowodnić, że przeczytał od deski do deski *Słownik Oksfordzki Długich Niezrozumiałych i Od Dawna Nieużywanych Terminów Którymi Można Komuś Dowalić*. Natomiast

jeżeli chodzi o to, co powiedział O'Shea, to tylko jedno słowo przychodzi mi na myśl: zazdrość, Jones, ten zielonooki potwór. Zupełnie nie zrozumieli idei...

O dwudziestej pierwszej trzydziści Daniel wciąż nawijał:

— ...ta cała sprawa z dzieckiem zupełnie zabiła mnie z pantałyku. Załatwiłbym ich wszystkich, gdybym tylko był w formie. *Poetyce czasu* nie odda sprawiedliwości dziesięciosekundowy fragment i para zazdrosnych siepaczy. Niestety, w ten sposób zostanie z góry zdefiniowany przekaz, bo to wszystko już poszło w eter, no i teraz jeszcze będę miał na głowie recenzje. Chyba przebrała się miarka, mam wrażenie...

Usłyszałam dźwięk powiadomienia o przyjściu esemesa.

Magda

Audrona dostała pracę i będzie projektować wały przegubowe dla Airbusa. Zostałam bez niani. Pomocy! Mogę zadzwonić?

Zaraz po nim przyszedł następny esemes.

Tom

Miałem właśnie karczemną awanturę z Shazzer na temat dzieci. Ona twierdzi, że JESTEM okropnym człowiekiem. Jestem? Mogę zadzwonić?

23.20. Właśnie skończyłam ze wszystkimi rozmawiać, gdy usłyszałam, że przyszedł esemes od Marka.

Mark Darcy

Co sądzisz o moich obrazach?

20 LISTOPADA, PONIEDZIAŁEK

Studio Sit Up Britain. Skrajnie wyczerpana siedziałam w reżyserce, przyglądając się, jak Miranda — nieskazitelna w kremowej garsonce — przeprowadza wywiad z ministrem ds. rodziny; nikt nie byłby w stanie się domyślić, że przez całe wczorajsze popołudnie i całą noc bzykała się z facetem, którego poznała w Hackney.

— Posłuchaj, Miranda — energicznie tłumaczył minister ds. rodziny — jeżeli chcemy stworzyć odpowiednie perspektywy naszym dzieciom, musimy się oprzeć na właściwych strukturach społecznych: silne, tradycyjne rodziny zapewniające poczucie bezpieczeństwa, dwoje godnych zaufania i kompetentnych rodziców oraz etyka odpowiedzialności wpajana od najmłodszych lat.

Poczułam, jak coś we mnie pęka.

— Masz może jakieś w miarę świeże doświadczenia z dzisiejszego świata randkowego? — powiedziałam Mirandzie do słuchawki.

— Panie ministrze, ma pan może jakieś w miarę świeże doświadczenia z dzisiejszego świata randkowego? — powtórzyła Miranda jak papuga.

— Hm, no, cóż... od piętnastu lat jestem żonaty, więc...

— No właśnie! — powiedziałam do słuchawki. — To jest brutalny świat! Mężczyźni są zupełnie opętanymi na swoim punkcie pojebami. Zdajesz sobie sprawę, jak TRUDNO się doczekać choćby esemesa od kogoś, kto się z tobą przespał...

— No właśnie! — zaczęła Miranda. — Mężczyźni są zupełnie opętanymi na swoim punkcie pojebami. Zdajesz sobie sprawę, jak TRUDNO się doczekać...

Peri Campos zakryła mi mikrofon.

— OK, kończymy, Bridget oszalała. Cięcie i następna część programu!

Podczas gdy Miranda ciągnęła dalej:

— ...od kogoś, kto się z tobą przespał...

— Powiedziałam: KOŃCZYMY!

— Tak więc, panie ministrze, dziękuję za rozmowę, na tym musimy kończyć — gładko poradziła sobie Miranda. — A teraz! —

Odwróciła się i groźnym wzrokiem spojrzała w obiektyw kamery numer trzy. — Są małe, są zaokrąglonymi zabójcami i LEŻĄ WE WSZYSTKICH SKLEPACH.

W migawkach na ekranie pojawiły się karetki pogotowia, szpitale, wymiotujący ludzie i kurczaki.

Nie wstając z fotela w studiu, Miranda spojrzała w moją stronę i unosząc dłonie do ust, wyszeptała bezdźwięcznie:

— Gdzie to, kurwa, jest?

— Jordan! — syknęłam. — Rekwizyt!

Młody Jordan z koczką okazał się jeszcze gorszy od Juliana. Klipy z newsami właśnie dobiegały końca, gdy on przeszedł na czworakach po podłodze i podał rekwizyt Mirandzie.

— JAJKA! — w ostatniej chwili z triumfem oznajmiła Miranda i uniosła do góry małe brązowe jajko, które niezwłocznie pękło w jej dłoni i wylało się na kremową garsonkę.

— Oto one, kruche, maziowate... — improwizowałam rozpaczliwie.

— Są kruche, maziowate... — powtarzała za mną Miranda.

— Zawsze dobre do gwiazdkowej kolędy — szalała moja wyobraźnia. — Jordan. Gdzie jest, kurwa, facet od jajek?

— Zawsze dobre do gwiazdkowej kolędy. Gdzie jest... — zaczęła Miranda.

— ...pocziwe jajka mogą wydawać się niegroźne, choć mogą narobić bałaganu — karmiłam Mirandę swobodnymi skojarzeniami. — Najnowsze badania wskazują, że zagrożenie ze strony jajek może być... Jordan, dawaj go na fotel, ten ekspert, ten jajcarz ma ZARAZ tam siedzieć... poważniejsze, niż dotąd sądzono... OK, JUŻ JEST! Miranda, wracamy do scenariusza.

Odwróciłam się i napotkałam przewiercający mnie na wylot wzrok Peri Campos.

— To ty jesteś mała, zaokrąglona i leżysz... — oznajmiła. — Miałaś najpierw ugotować to jajko. Po programie chcę cię widzieć w moim biurze. Wywalcie ten wywiad o jajkach. Nuda. Wrzućcie Nigerię, a potem zaraz okolice bikini Liz Hurley.

19.00. Toaleta *Sit Up Britain*. Siedzę zgarbiona na desce

klozetowej, trzymając się za brzuch. Dobrze nie jest i nie będzie. Dziecko ma być źródłem radości i szczęścia dla świata, a tymczasem wszędzie dookoła kompletne załamanie.

19.01. Muszę zapewnić dziecko, że wszystko jest w porządku. Nawet jeśli to nieprawda.

19.02. Wszystko OK, kochanie, jest OK i będzie OK. Przepraszam za to zamieszanie, ale pamiętaj, że tam, gdzie jesteś, jest bezpiecznie, przytulnie i błogo, że mamusia już o wszystko zadba i o bezpieczeństwo twoje też.

19.03. O Boże. Nie jest. Naprawdę nie jest. Serią szaleńczych dźwięków zaczęły przychodzić esemesy.

Miranda

Wywalili cię?

Shazzer

Bridge, miałam właśnie karczemną awanturę z Tomem. Możemy pogadać?

Magda

Bridget — nie tylko nie mam już niani, ale właśnie znalazłam rachunki z karty kredytowej Jeremy'ego, a tam same hotele i bielizna od Agent Provocateur. Zadzwoń do mnie?

Mama

Kochanie, chciałabym tylko uzgodnić szczegóły w sprawie debaty. Zadzwoń?

Bezmózgi Daniel nie odpowiadać

Jones. Mogę cię prosić, żebyś do mnie oddzwoniła? Gdyby nie ta cała sprawa z dzieckiem, dałbym radę się obronić. Zniszczyłaś mnie.

W związku z tym jesteś mi coś winna.

Peri Campos

Bridget: Gdzie ty się, kurwa, podziewasz? W moim gabinecie. Już.

19.10. Myślę, że lepiej zadzwonić do taty.

JEDENAŚCIE

„Nie”

20 LISTOPADA, PONIEDZIAŁEK

19.30. Wciąż w toalecie *Sit Up Britain*.

— Słuchaj, małpko — powiedział tata przez telefon. — To nie może tak być, że od rana do wieczora starasz się dogadzać innym. Masz teraz dziecko i ono jest najważniejsze. Trzeba umieć powiedzieć „nie”, to kardynalna życiowa umiejętność. Albo jeszcze lepiej: „nie i już”.

— Ale co z...

— Posłuchaj, jesteś kompletnie wykończona, ale w tej chwili nie ma nic ważniejszego od ciebie i dziecka. Czy możesz zająć się nim i sobą, wysłuchując oracji Daniela na temat jego książki, próbując godzić Toma z Shazzer albo Magdę z jej nianią i mężem... a ty na dodatek jeszcze próbujesz obsłużyć jakoś ten maminy sabat związany z wizytą królowej? W ciąży, zupełnie sama, taki szmat drogi, a na jej końcu gruboskórni ludzie zajęci wyłącznie sobą i swoimi sprawami, dręczący cię z upodobaniem niewygodnymi pytaniami? I jeszcze do tego idiotyzmy Peri Campos?

— Nie.

— Tak po prostu „nie”?

— Nie i już.

— Dokładnie. Nie i już.

19.45. W gabinecie Peri Campos. Weszłam tam i zobaczyłam Richarda Fincha, który siedział z głupkowatą miną, gdy tymczasem Peri Campos nadawała w swoim stylu:

— Spóźnia się, jest niezorganizowana, godzinami siedzi w kiblu i rozpierała mój program: Bridget Jones!

— Ale to nie fair — zaprotestował Richard. — Bridget Jones jest podporą *Sit Up Britain* od...

— Zamknij dziób, Richard, albo będziesz następny.

— Zamierzasz mnie wylać? — zapytałam.

— Ależ skąd, kochaniutka — zagruchała. — Bynajmniej nie zamierzam cię wylewać. Zamierzam natomiast wydrzeć ci z gardła tyle, ile wkładam w ciebie hajsu. Będziesz tu co rano punkt ósma. Będziesz przeglądała tabloidy i magazyny plotkarskie bez żadnych „a może tak wybory do lokalnych rad?” albo „a może tak Afrykańczycy z muchami

w oczach?”, tylko materiały, które będą ociekały grozą i seksem, pod wpływem których ludzi wbije w fotele i będą albo darli się ze strachu, albo robili sobie dobrze, ale na pewno nie zasną. To jak, ogarniasz to?

— Nie — odparłam. — Nie i już.

— Bridget, zluzuj — powiedział Richard, patrząc z troską na mój brzuch.

— *Sit Up Britain* to program z długą tradycją poważnego dziennikarstwa informacyjnego — odparłam wyniośle.

— Owszem, przejrzałam trochę starych materiałów — powiedziała Peri Campos. — To ciebie widziałam, jak się wspinasz po ześlizgu w remizie strażackiej, demonstrując olśnionemu narodowi swoje stringi? I jak skaczesz ze spadochronem do oczyszczalni ścieków?

— Cóż, program zawsze zawierał, niekiedy nieintencjonalnie, lżejsze elementy. — Tu akurat mogłam się z nią zgodzić.

— A ratingi poszły w górę dzięki tym stringom — zauważył Richard. — Ona ma naprawdę fajny tyłek.

— Zamknij się! — warknęła Peri Campos.

— Niemniej, na przestrzeni całej swej bogatej historii program *Sit Up Britain* — ciągnęłam, wzorując się w sporej mierze na admirałe Darcym — stanowił bastion solidnego dziennikarstwa informacyjnego, tak krajowego, jak i zagranicznego, budząc zaufanie odbiorców swą rzetelnością, więc nie mam zamiaru wkręcać się w jakieś opętane polowania na chore plotki i fikcyjne medialne bomby, jak też w urabianie doskonale sensownych nagłówków na mętniacko-eksperymentalną modłę, z których miałyby niby wychodzić jakieś powalające hocki-klocki.

— Chcesz powiedzieć, że rezygnujesz?

— Tak! — odparłam. I natychmiast spanikowałam.

— Świetnie poszło — stwierdziła Peri Campos, gdy tymczasem Richard Finch wbił we mnie wzrok pełen ostatecznego przerażenia.

— Cięcia — powiedziała Peri Campos. — Cięcia to zaiste wspaniały koncept, bo prowadzą do restytucji zasobów.

— Restytucja? To jakieś przeciwieństwo prostytucji? — zapytał Richard.

21 LISTOPADA, WTOREK

21.00. W domu. Właśnie odbyłam serię rozmów telefonicznych:

„Ależ kochanie... Już wszystkim powiedziałam, że przyjeżdżasz, i bardzo na ciebie czekają. Omówiliśmy w wiosce pobieżnie całą sprawę i wszyscy żalowali tej niezręczności, i... błagam, Bridget, naprawdę jesteś mi tu potrzebna”.

„Weź ty się puknij, Bridge. Skąd się w tobie wzięła taka nudziara? Zawsze mówiłaś, że w życiu nie będziesz Dętą Mamuską, a patrz, co się porobiło. Nie tylko ty jedna nie będziesz piła, pomyśl o tych wszystkich alkoholikach...”

„Coś ty, Bridget, musisz mieć imprezkę *baby shower*: Woney, Mufti, Caroline, Poo...”

„Zdecydowanie musisz przyjechać do nas na Gwiazdkę! Możesz spać w wolnym pokoju. Będzie Una z Geoffreyem i...”

„Posłuchaj, Jones — zawsze byłaś pod ręką i wyobrażałem sobie, że zawsze będę cię miał w rezerwie. Ale mnie nikt nie traktuje poważnie. Skończyłem się. Potrzebuję kobiety i dzieci, żeby ktoś się mną zajął na starość. Jeszcze chwila, a stanę się *bon vivantem* w średnim wieku, który w nieodłącznym fularze szuka potwierdzenia swojej męskości u córek przyjaciół”.

— Nie — powiedziałam im wszystkim. — Nie i już.

DWANAŚCIE

Kiedy z małego robisz coś wielkiego

I potem gniazdowałam. Gniazdowałam do końca listopada, przez cały grudzień i styczeń.

Gniazdowałam przez całe Boże Narodzenie. Donikąd nie poszłam, niczego nie kupiłam, tylko gniazdowałam, przez cały pierwszy dzień świąt oglądając telewizję i gadając przez telefon. Żadnego Grafton Underwood. Żadnego curry z indyka. Żadnego zamęczania się własnym życiem miłosnym. Nie, nie i już. Było słodko.

O ileż łatwiej mówić „nie” z dzieckiem w sobie, bo zamiast czuć się jak egoistka, mogłam się utwierdzać w przekonaniu, że robię to dla niego.

15 STYCZNIA, PONIEDZIAŁEK

15.00. Wpadł tato, żeby zabrać подарowany mi przez Magdę wózek Bugaboo i wstawić do siebie do garażu.

— Potrzebujesz więcej przestrzeni. Dziecko jest jak mały kociak, znacznie więcej kłopotów sprawią ci rzeczy. Jemu nic nie trzeba: wystarczy, że będziesz je usypiała, przewijała i karmiła, i wszystko, co tylko chcesz. A tak nawiasem mówiąc, co u Marka?

— Wciąż mu odbija. Powiedziałam, że ma przestać dzwonić. Z Danielem to samo. Malarstwo, literatura, mam tego potąd.

Tato zaproponował, że może mnie wesprzeć jakąś sumką. Nie chciałam, bo wiem, że sami trochę cienko przędą. Dziwne, ale utrata pracy zupełnie mnie nie ruszyła. Może dlatego, że przez dziecko czuję się jak naćpana, ale z drugiej strony prawda jest taka, że mam trochę oszczędności — nie aż tyle, żeby starczyło na dekoracyjne fryzy pod sufitem jak u Magdy albo na dziecięce łóżeczko z baldachimem czy też większe mieszkanie, w którym pomieści się wózek Bugaboo, ale dość, aby przez kilka miesięcy mieć na raty kredytowe, a poza tym wiele mi do życia nie trzeba, gdyż POTĘŻNIE zaoszczędziłam na winie i fajkach. Zresztą, jak już się poczuję lepiej, będę mogła poszukać pracy w charakterze niezależnej dziennikarki bądź publicystki. A nawet jako telemarketerka. Mogłabym mówić z hinduskim akcentem i udawać, że siedzę w Bombaju! Albo zostać jedną z tych dziewczyn, które wcielają się w osiemnastoletnie piersiaste modelki i toczą online przezabawne pornopogawędki z facetami.

Tyle jest roboty z myciem i czyszczeniem. Po prostu w pale się nie mieści. Wszystko, na co nie spojrzę, zaraz bym wzięła i pucowała. No, co za syf! Autentycznie cały dzisiejszy dzień spędziłam na sprzątaniu w szafkach, przestałam dopiero wtedy, gdy pojawił się tato. Ale jaka satysfakcja!

Najśmieszniejsze jest, że życie stało się najzwyczajniej w świecie łatwe i szczęśliwe, od kiedy ograniczyłam je do siebie i dziecka. Nie muszę się przejmować układami towarzyskimi albo kto się z kim pożarł. Co rano idę na róg do Raoul's, gdzie wypijam kawę i zjadam croissanta z czekoladą, czytając przy tym *Małą książeczkę nauk Buddy*, a także

Czego się spodziewać, kiedy się spodziewasz, i wpadam na różne pomysły, jak na przykład z tym Hybrydowym Jedzeniem albo z Jogą dla Ciężarnych, i przez cały czas jedynym moim zmartwieniem jest to, żeby nie pierdnąć. A potem zabieram się za szafki, pucuję, później jem ziemniaki zapiekane z serem. A od czasu do czasu chodzę na wizyty do dr Rawlings. Według niej radzę sobie bardzo dobrze i pociesza mnie, opowiadając, jaką zmurą dla niej samej potrafią być ojcowie.

Wszyscy znajomi powoli znaleźli dla siebie miejsca w moim nowym życiu. Miranda przychodzi na ogół w niedziele, z czymś na śniadanie, w drodze powrotnej z jakiegoś klubu, wlokąc czasem za sobą nagrzanego chłopaka. We wtorki wczesnym wieczorem wpada Tom, bo ma blisko mnie klienta. A w soboty w porze brunchu zjawia się Shazzer i ujada na temat najnowszego obleśnego, pierdolonego czegoś, czymkolwiek to obleśne, pierdalone coś jest.

Z kolei mama zmieniła o sto osiemdziesiąt stopni kierunek swojej kampanii i teraz jej główną ideą jest kwestia integracji, dzięki czemu przeciągnęła na swoją stronę tych dwóch gejów, co mieszkają za plebanią. To jej nowe podejście polega na tym, że podczas rozmów telefonicznych wtrąca stale zdania typu: „Posiadanie dwóch ojców jest takie nowoczesne — niemniej mam nadzieję, że żaden z nich nie jest chyba czarny, co, kochanie?”.

I raz po raz zagląda też Magda, która zachowuje się wspaniale, bo przynosi rozmaite akcesoria dla dziecka. A potem gędzi: „Moim zdaniem naprawdę będzie ci ciężko ciągnąć to zupełnie na własną rękę, Bridge”. A potem jeszcze zaczyna się wyplakiwać na temat Jeremy’ego i jego skoków w bok. Ale jest spoko, bo wiem, że niczego ode mnie nie chce i tylko mam jej wysłuchać.

Wszystko wygląda teraz tak dobrze, bo jak powiada tata: „Źródło swe ma we wnętrzu, a nie na zewnątrz”.

TRZYNAŚCIE

Zrozumienie

29 STYCZNIA, PONIEDZIAŁEK

15.00. Dobra. W pełni gotowa na dziecko, mimo iż zostało jeszcze siedem tygodni. Właśnie po raz kolejny skończyłam sprawdzać, czy wszystko zapakowałam. Oto co mam:

3 niewielkie torby podróżne, a w każdej: ubrania, przybory toaletowe, piłeczki tenisowe itd.

1 zestaw do scrabble

1 zestaw do boggle

1 talia kart

1 przenośny odtwarzacz DVD

Torba zawierająca 5 książek w twardej oprawie, 8 gazet, 2 porcyjki DVD

1 laptop

1 iPod

1 stoper (żeby mierzyć częstotliwość skurczów porodowych)

1 butelka chardonnay (oczywiście, żeby uczcić narodziny)

1 korkociąg

1 pudełko czekoladek Milk Tray

3 ziemniaki zapiekane z serem

1 torebka lodów wodnych (w zamrażarce), żeby mieć co ssać w razie bólu.

Myślę, że to wszystko. Ale nie mogę opędzić się od wrażenia, że o czymś zapomniałam.

31 STYCZNIA, ŚRODA

21.00. Właśnie przeczytałam w *Małej książeczce nauk Buddy*:
„Jeśli pozwolisz ustać się zmętniałej wodzie, stanie się jasna
i przejrzysta.

Jeśli pozwolisz ustać się zmaçonemu umysłowi, jasno odsłoni
drogę przed tobą”.

1 LUTEGO, CZWARTEK

5.00. Tęsknię za Markiem Darcym.

8.00.

— Czekałem na ten telefon — powiedział tata. — Kochasz go?

— Bardziej niż kogokolwiek na świecie... to znaczy, oczywiście, oprócz dziecka.

— A więc co cię powstrzymuje, małpko?

— Cóż, po pierwsze, na razie mu odwała: miota się w ciemnościach i maluje obrazy; po drugie, zrywał ze mną już tyle razy, i to ze względów, których nie pojmuję, dlatego jestem przekonana, że... gdybyśmy nawet po raz kolejny się zesзли... to przy pierwszej lepszej okazji zrobi to znowu. Chcę powiedzieć, że naprawdę nie rozumiem, dlaczego podczas imprezy zaręczynowej zareagował tak przesadnie i zniszczył tym swoje życie i moje. Dlaczego mnie ot tak zostawił wtedy, po chrzcinach? Dlaczego po kursie rodzenia napisał do mnie ten okropny, bezduszny list? Nie jestem na jego poziomie intelektualnym. A może jestem za stara. Nie należy uganiać się za facetem, bo to tylko człowieka unieszczęśliwia.

— Wam, dziewczynom, wydaje się, że cała władza jest po stronie mężczyzny — powiedział tata. — A zastanowiłaś się kiedyś, co on czuje? Mężczyźni też mają uczucia, tyle że nie gadają o nich bez przerwy. Wiesz, że trzeba pielęgnować poczucie własnej wartości u drugiej osoby. Rozmawiać. Nie możesz tylko biernie siedzieć i czekać, aż ktoś cię uratuje.

— Ale dlaczego on mnie rzucił w taki sposób? Dlaczego zwariował?

— Tego musisz się już dowiedzieć na własną rękę, kochanie. Ale znam Marka od dzieciństwa. Przyglądałem się, jak ekspediują go na stację w tym sztywnym kołnierzyku i garniturku, z walizczką w dłoni. Później, gdy już był nastolatkiem, zawsze cichy i pryszczaty stał w kącie w tym swoim sztywniackim sweterku. Najlepszy z chłopaków i zarazem ten, którego żadna dziewczyna nie chciała. Jak się zastanowisz, to zrozumiesz. Zobaczysz.

22.00. Jakby łuski spadły mi z oczu. Cóż, nie w sensie literalnym.

Przecież nie wpadłam twarzą w żadną rybę. Ale zrozumiałam, że w mężczyznach widziałam dotąd wszechpotężnych bogów, obdarzonych mocą decydowania, czy jestem cokolwiek warta, czy jestem atrakcyjna, a nie istoty ludzkie. Nigdy się nie zastanawiałam nad tym, co oni czują. Muszę... muszę... och, jestem taka śpiąca.

3 LUTEGO, SOBOTA

5.00. W domu. Rozumiem, naprawdę chyba już to rozumiem. Taki właśnie jest Daniel.

7 LUTEGO, ŚRODA

5.00. W domu. Mimo to wciąż uważam, że ten list był w stu procentach brutalny. Bo przecież to nie ja zachowywałam się tak na kursie rodzenia, tylko Daniel. Dlaczego oberwałam za niego? Zmulony dupek.

13 LUTEGO, WTOREK

5.00. W domu. Nie odważę się do niego zadzwonić. Po prostu brakuje mi odwagi. Wiem, że za bardzo będzie mnie bolało, gdy powie „nie”.

14 LUTEGO, ŚRODA

13.00. W domu. Oj! Pierwsza po południu. Umieram z głodu, umiera z głodu moje dziecko. Muszę się ruszyć i przynieść sobie coś do zjedzenia.

13.05. Oj! Co to było?

13.06. To dziecko w moim brzuchu. Powoli zaczynam czuć je tak, jakby to był wielki mrożony indyk.

13.10. Mam taki wielki brzuch, że nie mogę włożyć skarpetek.

13.30. O Boże. W lodówce nie ma jedzenia. Nie mam grosza przy duszy. Głoduję. Głoduje dziecko.

13.31. Lepiej, jak się na chwilę położę.

13.55. Ostatnie dziesięć minut spędziłam, próbując wstać z sofy, nie mogłam, bo ręce utknęły mi pod brzuchem. Magda miała rację: sama nie dam rady nic zrobić. Minęło zbyt dużo czasu i teraz nie mogę zadzwonić po pomoc do Marka, ponieważ wyjdzie na to, że jestem zdesperowana, a nie, że go naprawdę kocham i rozumiem. Muszę sobie radzić sama, sama wziąć się w garść i sama wyjść na dwór w poszukiwaniu jedzenia.

15.00. Supermarket Tesco.

— To chłopiec czy dziewczynka? — usłyszałam pytanie jakiejś klientki, gdy zmierzałam ku ziemniakom z serem.

— Chłopiec!

— Kiedy termin?

— W marcu! — odparłam. W tym momencie zdałam sobie sprawę, że z tak widoczną ciążą przestałam być kimś w rodzaju Jej Królewskiej Mości, a stałam się stewardesą, tyle że z ludzką głową osadzoną na słoniowym ciele, która bez końca odpowiada to samo na te same pytania z zawodowym uśmiechem przyklepionym do twarzy.

— Kiedy termin?

— W marcu. Dziękujemy za skorzystanie z naszych linii — odparłam, nie myśląc.

— To chłopiec czy dziewczynka? — zapytała mnie kasjerka, przesuwając moje zakupy nad czytnikiem; ja tymczasem zmagalam się z torebką w poszukiwaniu karty kredytowej.

— Chłopiec, termin niedługo, w końcu minęły już prawie dwa lata. To słoniątko — wyjaśniłam, wsuwając kartę w szczelinę i dodając: — Mogłabym prosić o pięćdziesiąt funtów w gotówce?

— Proszę podać swój PIN.

Tępym wzrokiem zapatrzyłam się na kasjerkę.

— Proszę wstukać swój PIN.

Ludzie stojący za mną w kolejce zaczęli się burzyć.

— Kobieta w ciąży! Dziury w pamięci!

— Pewnie dziewczynka, zobaczcie, jaki krzywy brzuch.

— Może źle się poczuła?

— Proszę nie blokować kolejki — ponaglała mnie kasjerka.

— Nie pamiętam swojego PIN-u.

Na oślep zaczęłam wciskać jakieś przypadkowe klawisze. Data urodzenia? Nie. Aktualna waga i wymarzona waga? Nie. Dziecko pożarło tę część mojego mózgu, w której był PIN.

— Strzela na oślep — powiedział facet stojący za mną.

Strzela na oślep. Strzela ślepakami.

— Ma pani może jakąś inną kartę?

— Nie — odparłam, grzebiąc w portfelu w poszukiwaniu gotówki; nic nie znalazłam prócz jednej pięćdziesięciopensówki. — Na kredyt pewnie nie mogę wziąć? — bełkotałam. — Jestem regularną klientką. Osobą nader wiarygodną. Pracowałam przez długi czas w telewizji... w programie *Sit Up Britain*.

— Przykro mi.

Trzeba było nie opowiadać tych żartów o słoniątku.

Strzela ślepakami. Tak się Daniel wyraził na temat Marka po tym nieszczęsnym kursie rodzenia, kiedy Mark się tak okropnie rozszłościł, a ja uciekłam im taksówką. Nagle przed oczyma stanęła mi scena, jak patrzę na nich przez tylną szybę. Przypomniał mi się Daniel, coś namiętnie tłumaczący Markowi, przypomniał mi się odchodzący wielkimi krokami Mark. Coś się wtedy stało. To po tej rozmowie, jeszcze tej samej nocy Mark wysłał mi ów list.

Nie ruszając się z Tesco, wyjęłam z torebki telefon i zadzwoniłam.

— Daniel?

— Tak, Jones. Właśnie przygotowuję się do wywiadu na temat

Poetyki czasu dla najważniejszego programu o sztuce w Monako. Czym mogę ci służyć?

— Pamiętasz kurs rodzenia i potem?

— Pamiętam i kurs, i potem, tak, Jones.

— Co wtedy powiedziałeś Markowi?

Po drugiej stronie zapadło milczenie.

— Daniel? — zapytałam groźnie.

— Tak, chciałem nawet w tej sprawie do ciebie zadzwonić, Jones.

Mogłem zasugerować Darcy'emu, że kiedy ty i ja oddawaliśmy się czynnościom prowadzącym do poczęcia, ja, by tak rzec, nie odziałem się właściwie na tę okazję...

— Ty CO? Ale przecież włożyłeś prezerwatywę. Skłamałeś! Jesteś ostatnim dupkiem!

— Daj spokój, Jones. To tylko Darcy. Ups. Muszę kończyć, Monte Carlo na linii. *Bonjour, les petites Monacaines!* Cześć, Jones.

O to poszło! To takie buty, myślałam, stojąc w przejściu przy kasach Tesco, gdy tymczasem ludzie sarkali na mnie, mijając z naręczami zakupów. Mark jest człowiekiem honoru i uznał, że to ja skłamałam. A na dodatek uznał, że skłamałam, tłumacząc całą sprawę z prezerwatywami. Muszę zaraz do niego zadzwonić. Przecież w każdej chwili wszystko się może zdarzyć. Może powtórnie ożenić się z Natashą. Może znowu pojechać do Maghrebu i nigdy nie wrócić. Może już został sławnym malarzem i w tej chwili gawędzi sobie beztrosko z właścicielką galerii w Shoreditch, mając na sobie śmieszny strój i kapelusz.

15.30. O cholera. O cholera! iPhone mi się wyładował i wyłączył, nie pamiętam hasła do niego.

15.45. Z powrotem w domu. OK. Spokojna i opanowana. Pozwolę mojemu niespokojnemu umysłowi ustać się niczym szklanka błota i... Jakie, kurwa, jest to hasło?

15.46. Termin rozwiązania? 1703? 0317? Nie. Poza tym przecież nie byłam nawet w ciąży, kiedy wybierałam sobie hasło do telefonu. OK, kiedy miałam trzydzieści dwa lata, Mark miał... nie. Kiedy będę miała sześćdziesiąt pięć, Daniel będzie... wciąż będzie bezmózgowcem. O Boże, o Boże. Muszę się jakoś z nim skontaktować.

15.47. Wiem! Skorzystam ze starego, dobrego telefonu

stacjonarnego.

15.48. Och. Jaki jest numer do Marka?

16.00. Może jest w książce telefonicznej w komputerze.

16.05. Na ekranie komputera wyświetliło mi się: WPROWADŹ HASŁO.

16.15. Dziecko? Mark. MarkDaniel? Ser? Ziemiaki? Ziemiakizserem?

16.30. Dziecko pożarło wszystkie liczby, jakie miałam w głowie. Nie potrafię sobie przypomnieć telefonu do Shazzer, ani numeru Toma, ani numeru taty. Nie mam pieniędzy. Nie mam mózgu.

17.00. Tępo wpatrzona w ścianę. To nie jest wina dziecka. To technologia.

17.30. Grrr! Nienawidzę technologii. Chciałabym, aby nigdy nie została wynaleziona. Kiedy to się stało i dlaczego tak nagle, że nie da się nic zrobić, nie pamiętając jakichś dzikich pomieszanych nazw czy numerów? To dokładnie jak kiedyś z alarmami antywłamaniowymi — znacznie większe były szanse, że ktoś włamie się do samochodu, ponieważ nie będzie mógł znieść wyjącego bez końca alarmu, więc wybije szybę, aby go wyłączyć, niż to, że alarm uratuje ci samochód przed prawdziwym złodziejem. Hasła są rzekomo po to, żeby rosyjscy hakerzy nie włamywali się do komputerów — a nie po to, żeby CZŁOWIEK nie mógł się dostać do własnego komputera, ani, po prawdzie, do niczego, podczas gdy rosyjscy hakerzy spokojnie sobie wszystko zhakują.

18.30. Błagam cię, dziecię moje. Racz zwrócić swe hasła na przynależne im miejsce w tym, co zostało z mojego mózgu, abym mogła przekazać Markowi, że bardzo go kochamy i chcemy, aby ojcem twym był i — co z pewnością nie bez znaczenia — aby przyniósł nam ziemiaki z serem, bym cię mogła nimi nakarmić.

I wtedy, znienacka, mnie oświeciło:

5287

Przyjrzałam się cyfrom i literom na klawiaturze telefonu stacjonarnego.

5287

J A U R



JUST AS U R

TAKA JAKA JESTEŚ

18.45. Rzuciłam się do telefonu komórkowego i znalazłam w kontaktach numer Marka. Trzęsącymi się rękoma wklepałam go w klawiaturę. Zadzwoiłam. Odpowiedziała mi poczta głosowa.

— Mark, tu Bridget. Mam ci coś ważnego, bardzo ważnego do powiedzenia. Nie kłamałam ci o tych prezerwatywach. To Daniel skłamał. A tylko ciebie kocham. Kocham cię. Proszę, oddzwoń. Proszę.

18.46. Nic. Może Mark też zapomniał swojego hasła.

19.00. Wysłałam Markowi esemesa z mniej więcej tą samą

informacją. Może wciąż maluje. Może powinnam do niego pojechać. O Boże. Muszę gdzieś zdobyć jakiś telefon, to znaczy jedzenie. Może najpierw pieniądze, żeby już nic złe nie poszło.

*

Kulejąca, załamana, po schodach na dół do bankomatu w banku. Przeszłam przez rozsuwane drzwi, odłożyłam torebkę i wprowadziłam PIN. Nie zadziałał. Dlaczego? Może zbyt wiele razy próbowałam w Tesco i coś się zablokowało. Chwiejąc się, jak we śnie, wyszłam przez rozsuwane drzwi na ulicę i wtedy, w tej samej chwili, gdy drzwi się zamykały, zobaczyłam moją torebkę leżącą na posadzce wewnątrz.

O Boże, Boże. Telefon był w torebce, razem z portfelem i kluczami do mieszkania.

A drzwi do banku już nie otworzą się przede mną.

20.30. Skulona na podłodze pod drzwiami mojego mieszkania. Cały pomysł, żeby z dużego zrobić małe to kompletna bzdura. Magda ma rację.

20.35. Zaczęło padać, z nieba leją się strumienie wody.

20.40. Może powinnam poprosić jakiegoś uprzejmego przechodnia, żeby mi użyczył telefonu? Ale z drugiej strony jaki sens, skoro nie pamiętam niczyjego numeru? A jednak, może w tym sennym stanie... idzie jakiś człowiek!

Zaczęłam od grzecznego:

— Przepraszam — i nie dane mi było wykrztusić więcej, gdyż on bez słowa rzucił mi monetę na płaszcz i pospieszył w swoją stronę, wyglądając na z lekka przestraszonego. Najwyraźniej uznał mnie za ciężarną matkę dzieciom w potrzebie, kogoś w rodzaju umierającej w śniegu Fanny Robin z Thomasa Hardy'ego.

Na dźwięk kroków uniosłam zmęczoną głowę, przekonana, że czynię to po raz ostatni, i zobaczyłam, znowu, znajomą postać w granatowym płaszczu, która zmierzała ku mnie wskroś zalanej strugami deszczu ulicy.

CZTERNAŚCIE

Pojednanie

14 LUTEGO, ŚRODA

— Co ty robisz, tak siedząc na deszczu? — zapytał Mark, podbiegając do mnie. Pomógł mi wstać i zaraz zaczął rozpinąć swój płaszcz. — Nie odebrałem, bo miałem ściszony telefon. Byłem w sądzie.

— W sądzie? A co z malowaniem?

— Przecież to kompletny chłam. Nie mówmy już o tym. Potem bez przerwy do ciebie dzwoniłem, ale nie odbierałaś.

— Telefon mam w torebce, a torebka utknęła w banku.

— Torebka ci utknęła w banku? Masz, okryj się.

Włożył mi płaszcz na ramiona.

— Dlaczego siedzisz przed drzwiami? Nie masz kluczy?

— Są w torebce, w banku.

— Są w torebce, a torebka w banku. No, świetnie. Nic więcej już nie chcę wiedzieć. Tak! Wszystko po staremu.

Kilka razy szarpnął drzwiami, potem próbował je rozsunąć za pomocą karty kredytowej. Bez powodzenia.

— OK — powiedział — prawdopodobnie wywalą mnie za to z palestry, ale nie ma innego wyjścia.

Pięścią rozbił szybę w drzwiach i otworzył drzwi od środka.

Jeszcze na schodach zaczęłam przygotowaną mowę:

— Tak się cieszę, że cię widzę. Nie okłamałam cię. W ogóle ci nie kłamię. Za każdym razem używałam tych prezerwatyw dla delfinów. Teraz już wiem, że przez całe lata sama sobie robiłam pranie mózgu tym wszystkim, co zaszło, tymi poradnikami randkowymi, różnymi randkowymi radami, które każą wierzyć, że droga do serca mężczyzny wiedzie przez udawanie, że się na niego nie zwraca uwagi. Że nie wolno pokazać, że ktoś ci się podoba, bo mógłby zobaczyć, że ci się podoba...

Oczywiście drzwi do mieszkania zastaliśmy zamknięte. Mark wyciągnął kartę kredytową i tym razem mu się udało.

— Tak... ewidentnie trzeba tu rozwiązać pewne kwestie bezpieczeństwa... Co mówiłaś?

— Doszłam do wniosku, że nie można swojej starej miłości powiedzieć, że go wciąż Kocham, na wypadek gdyby on myślał, że wciąż go Kocham.

Zamilkł i znieruchomiał.

— Mark?

— Tak?

— Kocham cię.

— Kochasz mnie?

— Tak. I najzwyczajniej w świecie naprawdę jest mi przykro.

— Nie, to ja przepraszam.

— Nie, to ja przepraszam.

— Ale w tym jest tyle samo twojej winy, co mojej — rzekł.

— Nie. To jest moja wina. A teraz, kiedy spodziewam się dziecka, zrozumiałam, że nie muszę zachowywać się jak dziecko... i wcześniej też nie musiałam.

— Cóż, dzieci się tak chyba nie zachowują — zauważył.

— Prawda. Dzieci tyle nie piją.

— W przeciwnym razie zdecydowanie należałoby coś z tym zrobić. — Uśmiechnął się i spojrzał znaczącym wzrokiem na butelkę wina. — To dla dziecka?

— Mark, próbuję ci wytłumaczyć, jak bardzo mi przykro, że cię zrani...

— Ale twoim tłumaczeniem brakuje logiki, ponieważ ja też cię zraniłem. Razem powinniśmy się prze...

— Posłuchaj. Mogę dokończyć moją mowę? Proszę? — powiedziałam.

— Tak.

— Przepraszam.

— To już było.

— Mark, przestań. Wysłuchaj mnie. Przestań zachowywać się jak adwokat, przestań odgrywać samca alfa, przez chwilę bądź człowiekiem.

Przez moment wyglądał na zupełnie zbitego z tropu, jakby znowu zatracił poczucie własnego „ja”.

— Ciebie kocham — kontynuowałam. — Cokolwiek się zdarzy, cokolwiek postanowisz zrobić, to zawsze będziesz ty. Ze wszystkich ludzi, jakich spotkałam w swoim dość już długim życiu, jesteś najbardziej przyzwoitą, najmiłą, najinteligentniejszą i najbardziej wrażliwą duszą. — Zauważyłam na jego twarzy cień rozczarowania. —

A oprócz tego — dodałam pospiesznie — jesteś najbardziej seksowny, przystojny, dowcipny i uroczy. — No, teraz mu się spodobało! — Nie wspominając już o klasie i o tym, że z nikim mi się tak dobrze i cudnie nie bzykało! — Oczy zaślnęły mu blaskiem. — Jesteś człowiekiem, którego kocham najbardziej na świecie — ciągnęłam. — Nie licząc dziecka, i w głębi duszy pragnę, żebyś to ty był jego ojcem.

Przez chwilę próbowałam sobie przypomnieć, co jeszcze chciałam powiedzieć.

— Chcę jeszcze powiedzieć tyle, że choć oczywiście wiadomo, co o tobie mówią Shaz, Tom i Miranda, że masz pogrzebacz w dupie, represję charakteru analnego, że unik jest twoją metodą na życie i zawsze gadasz o pracy, i wisisz na telefonie, i...

— ...że WCIAŻ wiszę na telefonie, nadęty, emocjonalnie niedorozwinięty snob — dokończył Mark z głupkowskim wyrazem twarzy.

— To powiem ci, że oni się całkowicie mylą. Prawda jest taka, że bardzo cię kocham...

— ...choć chętnie to i owo byś we mnie zmieniła. Pewnie dobrze byłoby, gdybym był bardziej dowcipny? Może bardziej spontaniczny? Weselszy? Uroczy? Bardziej...

— Nie — oświadczyłam. — Chcę, żebyś był taki, jaki jesteś.

— Z ust mi to wyjął.

Rozdzwonił się alarm przeciwpożarowy.

— O cholera, curry.

— Ugotowałaś CURRY? — zapytał Mark, teraz już nie na żarty przerażony. — Tak przy okazji, wszystkiego najlepszego z okazji walentynek.

— Nie, wzięłam na wynos z Pink Elephant. Dzisiaj są WALENTYNKI? Przedwczoraj włożyłam do piekarnika, żeby się podgrzało, i zupełnie zapomniałam — darłam się, próbując przekrzyczeć hałas alarmu.

Z piekarnika dobywały się kłęby gryzącego dymu.

Mark jakimś cudem pamiętał mój kod do alarmu, wbił go szybko i powiedział:

— Tak, dzisiaj są walentynki. — Potem włączył wentylator

w pochłaniaczu zapachów i otworzył okno. Gdy alarm przestał wyc, zajrzał do piekarnika i wyciągnął z niego stopiony styropianowy kartonik z curry w środku.

— Wiesz, co w tobie najbardziej kocham, Bridget?

— Co? — spytałam, czując napływ nagłego podniecenia na myśl, że zostanę doceniona za inteligencję lub urodę.

— Że przez cały ten czas, odkąd się znamy, ani razu się przy tobie nie nudziłem.

— Och — westchnęłam, zastanawiając się, czy faktycznie usłyszałam komplement. To znaczy, na skali zalet, za które można być kochaną.

— Parę razy otarłem się o śmierć, płonąłem... zarówno namiętnością w twoim łóżku, jak zwykłym ogniem w kuchni, zostałem otruty, bywałem oszalały z pożądania, wściekły bez granic, złamałaś mi serce, poniżałaś, upokarzałaś, wprawiałaś w ekstazę, oblewałaś wodą, brudziłaś ciastem, wodziłaś na manowce swoją idiosynkratyczną, choć, trzeba przyznać, wielokrotnie jak najbardziej słuszną, wewnętrzną logiką, pozwalałaś, żeby mnie obrażano po pijanemu, zmieniałaś we włamywacza, zmuszałaś do udziału w bójkach i do łamania prawa, przez ciebie trafiłem do więzienia w trzecim świecie, nie wspominając już o żenujących sytuacjach z udziałem rodziców, wymiotowaniu na mnie i kłopotach w pracy, ale nigdy, przenigdy się z tobą nie nudziłem.

Zauważył wyraz mojej twarzy.

— Ale jestem inteligentna? — zapytałam.

— Jesteś bardzo, bardzo inteligentna. Prawdziwy tytan intelektu.

— A ładna i szczupła? — dopytywałam z nadzieją.

— Bardzo, bardzo ładna i bardzo szczupła... poza tym, że obecnie masz kształt prawie idealnej kuli... choć z pewnością jest to bardzo dzielna kula. Przez ostatnich osiem miesięcy wykazałaś się heroizmem i perfekcją, dając sobie radę wśród tej całej błazenady. A odtąd będziemy wszystko robić razem, ktokolwiek okazałby się ojcem dziecka. Kocham cię i nasze dziecko.

— Ja też was obu kocham — wyszeptałam w ekstazie.

To były najlepsze walentynki w moim życiu. Później, jeszcze tego samego wieczoru, zamówiliśmy chińszczyznę na wynos i zjedliśmy przy

ogniu (ogień płonął na kominku). A potem rozmawialiśmy i rozmawialiśmy, i rozmawialiśmy, i rozmawialiśmy o wszystkim, co nam się przydarzyło i dlaczego. I snuliśmy plany, jak to odtąd będzie. Na razie zdecydowaliśmy się zamieszkać u mnie, żeby nie robić afery.

— Tu jest przytulniej — wyjaśnił Mark. — Poza tym kuchnia lepsza.

Okazało się, że Mark dowiedział się od Jeremy'ego o mojej kłapie w *Sit Up Britain*, a potem porozmawiał sobie z Richardem Finchem i Peri Campos. Wyjaśnił mi, że choć postąpili ze mną w sposób zasadniczo zgodny z prawem, to jednak — co musiała w końcu przyznać nawet Peri Campos — nieetyczny, a potem wytłumaczył, co powinnam zrobić, żeby odzyskać pracę i prawo do urlopu macierzyńskiego.

Wszystko wydawało się takie łatwe i proste, tak naturalne, jak życie powinno być. Czułam się, jakbym wróciła do domu. A potem poszliśmy do łóżka. A w łóżku wszystko było, jakby to powiedziała Miranda: Nie. Samo. Wite.

— Kobiety w ciąży tak się nie bzykają — zauważył Mark.

— Ależ tak, one tak to właśnie robią.

PIĘTNAŚCIE

Jej królewska mość ratuje sytuację, ponieważ

3 MARCA, SOBOTA

14.00. Świetlica w Grafton Underwood. Ogłoszenie wyników głosowania w kwestii, kto zajmie miejsce za stołem obok królowej po przeciwnej stronie niż proboszcz.

Mark i ja weszliśmy do świetlicy, każde oddzielnym wejściem i raczej ukradkiem, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Mama właśnie brała do ręki mikrofon na scenie.

— Lordzie Mayorze, Lordzie Clerku przy Jej Królewskiej Mości — zaczęła głosem nerwowym i drżącym, zupełnie niepodobnym do wyniosłego i władczego tonu, jaki zazwyczaj przybiera.

— Sprzeciw! — Mavis Enderbury poderwała się na równe nogi. — Powinno być „Clerku”, a nie „Lordzie Clerku”.

— Och, na duchy mych przodków, najmocniej przepraszam. — Mama ewidentnie zaczynała się na poważnie gubić. — Ale mniejsza o to, jest z nami tutaj nasz władca i komendant mórz, jak też kapitan nieustraszonego okrętu Grafton Underwood: admirał Darcy! — powiedziała, a potem padła na krzesło, wyraźnie wstrząśnięta.

Ojciec Marka, wysoki i wciąż przystojny, wkroczył energicznie na scenę w swym admirałskim mundurze.

— Dobra! Bierzemy się za to. Miejsca przy stole — zagrział. — Mam przyjemność ogłosić, że po lewej ręce Jej Królewskiej Mości zasiądzie, rzecz jasna, nasz proboszcz, a po jej prawej ręce, w wyniku głosowania, zasiądzie...

Po sali poniósł się szmer, a admirał tymczasem wziął do ręki kopertę zaklejoną staromodną ciemnoczerwoną woskową pieczęcią.

— Po prawej ręce Jej Królewskiej Mości — na jego twarzy pojawił się szczery uśmiech — zasiądzie kobieta, która przez całe swe życie nie szczędziła wysiłków na rzecz pomyślności wioski... i której losoś po królewsku karmił jej mieszkańców przez całe dziesięciolecia: pani Pamela Jones.

— Sprzeciw! — Mavis Enderbury powtórnie poderwała się na równe nogi, a na jej twarzy, pod kapeluszopodobną fryzurą, odmalował się grymas wściekłości.

— Czy chociaż raz moglibyśmy pomyśleć nie o sobie samych,

a o głowie naszego Kościoła i państwa: Jej Królewskiej Mości? — kontynuowała Mavis. — Zastanowić się, czy faktycznie nasz wybrany Przedstawiciel Wioski, który zajmie miejsce po prawej ręce Jej Królewskiej Mości, jako też zajmie ją rozmową, przedstawia sobą przyzwoitość i wartości rodzinne? Czy taką osobą może być niewierna w małżeństwie matka niezamężnej córki w ciąży, która na dodatek nie ma pojęcia, kim jest ojciec i czy nie jest przypadkiem czarny?

Na sali zrobiło się dość głośno, gdy Mavis dla podkreślenia swych słów spojrzała prosto na mnie, a pozostali zebrani podążyli za jej wzrokiem. Mark ruszył w kierunku mikrofonu, ale tymczasem zdążyła już przemówić wioska.

— Wstydzilibyś się, Mavis — grzmiał wuj Geoffrey. — Wygadywać takie rasistowskie bzdety. Bridget jest kochaną dziewczyną ze ślicznymi, wielkimi...

— Geoffrey! — skarciła go ciocia Una.

— Pomyślcie o Joannie Lumley — powiedział tata, wstając. Zapadło pełne szacunku milczenie.

— Joanna Lumley była samotną matką i przez lata za nic nikomu nie chciała powiedzieć, kim jest ojciec jej dziecka.

— No właśnie, to wspomniała kobieta — przyznała Penny Husbands-Bosworth.

— Co racja, to racja. Porządna wojskowa rodzina — przyznał admirał Darcy.

— Najświętsza Panienska też nie wiedziała, kto jest ojcem! — próbowała nieśmiało wtrącić mama.

— Oj, wiedziała, wiedziała! — poprawił ją proboszcz. — Bóg był ojcem.

— Tak, ale założę się, że wszyscy w wiosce upierali się, że to anioł Gabriel — rzucił tata.

— Albo Jezus — spróbowałam być pomocna.

— Jezus był właśnie tym dzieckiem! — krzyknęła Mavis Enderbury.

— Mówiłem nie o teologii, ale o plotkach rozsiewanych przez ludzi — delikatnie, lecz zdecydowanie oznajmił tata. — A plotkarstwo nie jest niczym dobrym.

Mark przedostał się wreszcie na scenę i natychmiast roztoczył wokół siebie czar rasowego adwokata.

— Pan Colin Jones trafił w samo sedno — zaczął donośnie. — Żyjemy w kraju, kraju, który dawniej respektowano dla jego wartości, a którym obecnie w coraz większej mierze władają wiejskie plotki, dla niepoznaki nazywane prasą. Jednak my zebraliśmy się w tym miejscu, w naszej wioskowej świetlicy, aby, co wnoszę z jednoznacznego odrzucenia niewłaściwych i niepotrzebnych, lecz na szczęście sporadycznie rozbrzmiewających docinków, dać świadectwo temu, co znaczyło niegdyś i znaczyć powinno bycie Brytyjczykiem.

Sala zaszemrała z zadowoleniem, aczkolwiek podszytym dozą niepewności — wszyscy sobie gratulowali, choć mało kto właściwie wiedział czego.

— Popatrzcie na Jej Królewską Mość w jej własnej osobie — kontynuował Mark.

Wszyscy z podnieceniem wyprostowali się na krzesłach niczym surykutki.

— Pomyślcie, jaką medialną nagonkę musiała znosić w chwili, gdy jej rodzina pograżyła się w zamęcie i niewierności. Przypomnijcie sobie, jak dzielnie stawiała jej czoło: z lojalnością, przyzwoitością, poczuciem obowiązku, choć równocześnie elastycznie, co można uogólnić na wszelkie rodziny i wspólnoty. Wszystkim nam zawrócił w głowie czar i blichtr naszego, jakże szybko zmieniającego się świata. Ale musimy trzymać się swoich korzeni, trwać przy nich nieugięcie, zachowując przy tym jednak przyzwoitość i tolerancję, a przede wszystkim wystrzegać się pokusy łatwego osądzania. I mówię wam to teraz nie tylko jako syn tej wioski, ale... — tu spojrział w moją stronę i uśmiechnął się — jako ojciec...

W sali ludzie znowu zaczęli szeptać.

— Tak, tak... ktokolwiek okaże się biologicznym ojcem, a tego wciąż nie wiemy... jako ojciec najmłodszego zapewne wnuka Grafton Underwood.

Oklaski i wiwaty.

— Panie i panowie — zaczął admirał, wyraźnie wzruszony, choć ewidentnie dobrze panujący nad sobą. — Być może to będzie sprzeczne

z prawem, ale proponuję drugie głosowanie. Kto jest za tym, żeby Pamela Jones zasiadła po prawej ręce Jej Królewskiej Mości w trakcie obiadu, który odbędzie się po ceremonii?

Wszystkie ręce uniosły się do góry, w tym dłoń Mavis.

— Oświadczam, że wniosek został przyjęty. Pamela Jones zasiądzie po prawej ręce Jej Królewskiej Mości.

Salę zalała fala aplauzu i wiwatów. A potem admirał Darcy zupełnie niespodziewanie odwrócił się do Marka i go uściskał.

— Ludzie, opanujcie się — powiedział wuj Geoffrey.

Stary admirał zmagał się z szalejącymi w nim uczuciami.

— Kocham cię, synu — rzekł. — Zawsze cię kochałem.

— Ja też cię kocham, ojcze.

— Niech będzie. Jest dobrze. Zajmijmy się następnym punktem programu.

Było dokładnie tak, jak ujął to Mark, kiedy wreszcie udało nam się wydostać z tego amoku łez i uścisków, i kiedy siedzieliśmy już w jego samochodzie:

— Cała ta sytuacja zmieniła się w taką groteskę, że wątpię, aby ktokolwiek zachował bodaj odległy kontakt z rzeczywistością.

Pewnie miał rację, niemniej miło było uczestniczyć razem z nim w tych wydarzeniach, które odtąd zaczęły stanowić dla nas wspólną historię. Ale musisz wiedzieć, Billy, dlaczego jest to dla mnie takie ważne, abys wiedział, co wówczas powiedział Mark. Świat, na którym wkrótce się pojawisz, będzie żywołem całkiem innym od naszego, będzie światem lajków na Facebooku i kto wie, czego jeszcze, światem, gdzie wszyscy będą pozować, zamiast dzielić się swymi smutkami, lękami i prawdziwymi uczuciami, i będą też lajkować najsławniejszych, najbogatszych czy najładniejszych zamiast najbardziej ludzkich czy po prostu życzliwych przyjaciół. Jesteś Nowym Pokoleniem Grafton Underwood. I nim się obejrzysz, Mark i ja będziemy urządzać przyjęcia z curry z indyka wydawanym z bufetu i Śniadaniowe Karaoke, a potem będziemy próbowali cię wydać za wnuczkę Uny Alconbury.

SZESNAŚCIE

Ciąża urojona

16 MARCA, PIĄTEK

7.00. W domu. Dziecko ma się urodzić jutro. Jestem taka podniecona.

17 MARCA, SOBOTA

21.00. W domu. Dziecko jeszcze się nie urodziło.

19 MARCA, PONIEDZIAŁEK

Dzieci: 0.

21 MARCA, ŚRODA

17.00. W domu. Dalej nie ma żadnego dziecka. Czuję się jak niemowlę, które posadzono na nocniku; kupka za nic nie chce się pojawić, a dorośli czekają coraz bardziej zirytowani pod drzwiami łazienki. Może naprawdę jestem słonicą. Może będę musiała czekać jeszcze ponad rok.

22 MARCA, CZWARTEK

16.00. W domu. Dziecka nie ma. Zaczynam czuć się coraz bardziej niepewnie: jakbym miała w środku zamrożoną ostrygę.

Może zniecka wyskoczy ze mnie niczym Obcy, wygryzając sobie drogę przez mój brzuch, a potem pochyli się nade mną w postaci w pełni ukształtowanego dziecka, które już chodzi, i poprosi o swojego iPada z okrzykiem:

— Chcę tylko skończyć ten leeevel!

23 MARCA, PIĄTEK

7.00. W domu.

— Zawsze możemy przynieść sobie jakieś curry na wynos — z nadzieją zaproponowałam Markowi, gdy ten szykował się do wyjścia do pracy.

— Nieee! Żadnego curry. Raz na zawsze mam dosyć curry i płonącego styropianu. Chciałbym tylko, żebyś była trochę bardziej... przygotowana.

8.00. OK. Sprawdzę, czy wszystko spakowałam. Niewykluczone, że jednak przyda się piąta torba, taka mała, podróżna, na... O, ktoś dzwoni!

— Ach, kochanie, taka jestem podniecona. Królowa będzie u nas dziś po południu. Nie potrafię uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Masz jakieś objawy? Wiesz, tak się zastanawialiśmy nad tym, co Mark powiedział, że chcielibyście dać dziecku na imię William; to trochę zbyt pospolite, nie uważasz? A myślałaś o Maddoxie? A wiesz, że Shiloh to „Niebiosą” wymawiane wspak? Niesamowite, nie?

— Super — powiedziałam, skrupulatnie notując „Shiloh” na kartce. — Nie, mylisz się. Nie „Niebiosą”, tylko jakieś *holish*.

— Nie bądź głupia, kochanie. Jaki *Polish?* ! Próbowałaś już tego oleju z wątroby dorsza, o którym ci mówiłam? Och, muszę lecieć! Lord Lieutenant już tu jest! Bridget, słuchaj, naprawdę będę siedziała obok królowej!

Nagle poczułam, że zaraz się rozplaczę. Te wszystkie miesiące wyteżonych starań, a teraz marzenie mojej mamy — jakkolwiek świrnięte — miało się właśnie spełnić.

— Powodzenia, mamó. Baw się dobrze. Zasłużyłaś sobie. Pokaż, na co cię stać, niech jej majty zlecą.

9.00. Dziecko wciąż nie przybyło na świat. Mam wrażenie, że jestem oszustką. Może to ciąża urojona i wszystko, co się dotąd stało... No świetnie! Znowu telefon!

Dzwoniła Magda, ale zaczęła rozmawiać dziwnie zimnym tonem.

— Przypuszczam, że Miranda i Shazzer pierwsze się dowiedziały i choć to ja pomagałam ci przez cały czas, to one są znacznie weselsze

i zabawniejsze, no nie?

— O co ci chodzi?

— O dziecko. Mogłaś do mnie zadzwonić po wszystkim, co dla ciebie zrobiłam.

— Dziecko jeszcze się nie urodziło — wyjaśniłam.

— OCH! Już myślałam, że mnie skreśliłaś z listy. Ale Bridget, to przecież już dwa tygodnie spóźnienia! Pęknieś od tego. Powinnaś kazać sobie wywołać poród.

— Z jakiej listy?

— Chyba ułożyłaś sobie listę osób, które powiadomisz o narodzinach dziecka? Powinnaś mieć ją przygotowaną z góry w poczcie. W połogu nie dasz rady szukać tych wszystkich adresów e-mailowych.

10.00. Magda ma rację. Nie mam zamiaru szukać tych wszystkich adresów i zastanawiać się, co napisać w każdym e-mailu, kiedy będę szalała z radości, że mi się urodziło dziecko.

10.05. O ile rzeczony dziecko w ogóle istnieje.

Południe. Jest dobrze. Udało mi się chyba zebrać wszystkie adresy.

Mark i Bridget mają przyjemność poinformować...

12.15. Po namyśle jednak: hm... Nie chwaliliśmy się przyjaciołom, że jesteśmy razem — żeby nie obrażać uczuć Daniela, zdecydowaliśmy, że do czasu rozwiązania kwestii ojcostwa lepiej trzymać język za zębami.

12.30.

Bridget ma przyjemność powitać na świecie...

Łee, straszne.

12.45.

Panie i panowie. Oto staje przed wami...

Nie. Brzmi jak MC na gali z udziałem rodziny królewskiej. Może podkreć to bardziej po swojemu.

13.00.

Od: Bridget Jones

Temat: Dziecko!

To chłopiec! Bridget Jones powiła dziecko płci męskiej o imionach William Harry, waży 3,15 kg. Zarówno matka, jak i dziecko mają się dobrze.

13.15. Wciąż raczej suchar.

PS: Bridget zmarła przy porodzie.

13.16. Ha, ha, ha. OK, ZAPISZ.

13.17. O mój Boże. O mój Boże. Wcisnęłam WYŚLIJ DO WSZYSTKICH.

15.00. Kompletna katastrofa. Oba telefony urywają się jak zwariowane, co cztery sekundy słycać powiadomienia o nadejściu esemesa. Właśnie otworzyłam pocztę: dwadzieścia sześć maili.

„Gratulacje!”

„Z tym umieraniem to był żart, co?”

15.10. Grr! Dzwonek do drzwi.

15.16. Wielki bukiet kwiatów od *Sit Up Britain*.

Grr! Znowu dzwonek.

15.30. Wielki pluszowy królik od Mirandy z dołączonym bilecikiem: „Jest słodki, jest pluszowy i świetnie nadaje się na potrawkę!”

OK. OK. Spokój, spokój. Po prostu wyślę następnego maila na te same adresy i wyprostuję całą sprawę.

I może odeślę też kwiaty z przepaszającym bilecikiem. I królika. Choć jest naprawdę słodki i niczym sobie nie zasłużył na miejsce w potrawce.

15.35. Boże, spraw, żeby tylko te telefony przestały dzwonić i brzęczeć. No, dobra.

Od: Bridget Jones

Temat: Zignorujcie ostatniego e-maila

Moi drodzy, naprawdę jest mi przykro, ale tak naprawdę wcale jeszcze nie mam dziecka. Kiedy będę miała dziecko, z przyjemnością poinformuję was wszystkich, że szczęśliwy moment właśnie nadszedł!

15.45. Wysłałam.

15.46. Ożeż! A potem wyślę im kolejnego maila z wiadomością o narodzinach dziecka... A potem jeszcze jednego? Był taki jeden, co krzyczał: „Wilki”. Nikt mi już nie uwierzy.

1 Nieprzetłumaczalna gra słów — Shiloh to imię dziecka Angeliny Jolie, natomiast słowo *holish* nie istnieje jako rzeczownik pospolity.

SIEDEMNAŚCIE

Narodziny

Zadzwoił telefon Marka. Podniósł go do oczu, wbił wzrok w ekran.

— Oni tam poszaleli w tej choliernej robocie! — wrzasnął nagle i wyrzucił telefon przez okno.

— Niiieeeeeee! — rozdarłam się, odprowadzając wzrokiem telefon, który miał zaraz pokoziołkować w dół z trzeciego piętra.

Popatrzyliśmy na siebie dzikim wzrokiem.

— Weź mój — zaproponowałam.

— OK, OK — zgodził się. — Gdzie jest?

— Nie mam pojęcia!

— Połóż nogi wysoko i głęboko oddychaj. — Znalazł mój telefon, jęknął, gdy dodzwonił się na pocztę głosową, po czym ustawił tryb głośnomówiący.

— Przepraszamy za nieoczekiwanie wydłużony czas oczekiwania w tej lokalizacji, ale wszyscy nasi kierowcy są obecnie zajęci przy innych zleceniach.

— Karetka? — Wstukał na klawiaturze numer 999. — Rozumiem, dziękuję. Miasto jest zablokowane — wyjaśnił, przerywając połączenie, a mnie w tym momencie dopadł kolejny skurcz. — Tylko nagłe wypadki. Najwyraźniej poród do nich nie należy.

— Poród nie jest nagłym wypadkiem? — wydarłam się. — Tak się czuję, jakby wyłaził ze mnie struś. Kurwa mać! Możesz wyciągnąć lody wodne z zamrażalnika?

— Napiszę esemesa do wszystkich znajomych — oświadczył Mark, grzebiąc w zamrażalniku. — Ktoś musi być w tej okolicy.

— Zejdźmy na ulicę, może pojawi się jakaś taksówka — zaproponowałam.

— Naprawdę musisz to wszystko brać ze sobą?

— Tak! Tak. Muszę mieć i piłeczki tenisowe, i lody wodne.

Mark po części zawlókł, a po części zaniósł mnie na ulicę, a potem wrócił po moje cztery torby. Jezdnia była zupełnie zapchana: stojące w korku autobusy i ciężarówki trąbiły i prychały kłębami dymu. Jakimś cudem na kształt niepokalanego poczęcia zza rogu wyjechała taksówka z podświetlonym napisem nad przednią szybą i Mark, praktycznie rzecz biorąc, rzucił się na jej maskę.

— Wybieracie się w jakieś fajne miejsce? — zapytał kierowca, kiedy Mark pakował torby do środka.

— Auuuu! — wrzasnęłam i taksówkarz obejrzał się na mnie z przerażeniem.

— Ej, chyba nie zamierzasz rodzić w moim wozie, co?

— Masz, ssij — powiedział Mark, podając mi lód wodny. — Tak na marginesie, królowa właśnie przybyła do świetlicy w Grafton Underwood.

— To nie jest lód — zaprotestowałam. — To zamrożona parówka.

Po dwudziestu minutach, w trakcie których taksówkarz nawijał bez chwili zmiłowania o tym, jak to niedawno wyczyścił swój wóz, przebyliśmy ledwie ćwierć mili, a skurcze pojawiały się w odstępach trzydziestu sekund.

— No dobra. Nic z tego. Będziemy musieli pójść pieszo — orzekł Mark.

— Wspaniale, znakomity pomysł, szanowny panie, w takim razie wysiadka, jeśli pozwolicie — powiedział taksówkarz i wywlókł mnie na chodnik.

— Co z moimi torbami? — załkałam.

— Pieprzyć je — wyjaśnił mi Mark, niosąc moje cztery torby do pobliskiego saloniku prasowego i wręczając zdumionemu kioskarzowi dwadzieścia funtów.

— Wezmę cię na ręce.

Uniósł mnie niczym Richard Gere w *Oficerze i dżentelmenie* i aż nim zarzuciło pod moim ciężarem.

— O święty Jezu, aleś ty ciężka.

Zadzwoił telefon.

— Chwila, najpierw muszę cię z powrotem postawić na ziemi. Cleaver!... Cleaver właśnie wychodzi z domu... tak! Niosę ją! Jesteśmy na skrzyżowaniu Newcomen Street i A3.

Chwiejnie wędrowaliśmy ulicą, oboje pojękując i postępując. Mark często stawiał mnie na ziemi, a potem chwycił się za plecy.

I nagle pojawił się Daniel w stroju do joggingu, czerwony na twarzy i zadyszany.

— Cleaver — rzucił na powitanie Mark — chyba po raz pierwszy

w życiu autentycznie cieszę się, że cię widzę.

— Dobra. Możecie odetchnąć. Ja się wszystkim zajmę. Ja ją wezmę za głowę, ty za nogi — powiedział Daniel. W jego głosie słychać było rżenie, jakby w każdej chwili groził mu zawał.

— Nie, ja wezmę ją za głowę — zaprotestował Mark.

— Nie. Ja to zacząłem i ja...

— Czy moglibyście. Przestać. Się klóciiiiiiiiii — pisnęłam, a potem mocno ugryzłam Marka w rękę, na co obaj w jednej chwili puścili moje ręce i tylko cudem nie przewróciłam się na ziemię.

Skończyło się na tym, że we trójkę zataczaliśmy się po ulicy, jakbyśmy grali w jakąś dziwną wersję Push Me Pull You, aż wreszcie dotarliśmy pod wejście na ostry dyżur, ale niestety utknęliśmy w drzwiach obrotowych.

Jakimś cudem udało nam się wydostać z pułapki i wejść do szpitala. Daniel i Mark chwiejnie podeszli do rejestracji, niosąc mnie jak worek ziemniaków z serem, a potem położyli mnie na kontuarze.

— Kto jest ojcem? — zapytała pielęgniarka w rejestracji.

— Ja — powiedział Daniel.

— Nie, to ja jestem ojcem — sprzeciwił się Mark, a wtedy w drzwiach ukazała się dr Rawlings pchająca przed sobą nosze na kółkach.

— Obaj są ojcami — wyjaśniła, gdy we trójkę podnosili mnie i kładli na nich.

To nie tak, myślałam, nie po raz pierwszy w tej smutnej epopei, to nie tak wyobrażałam sobie ten moment.

OSIEMNAŚCIE

Dałaś radę!

21.00. Sala na szpitalnym oddziale położniczym.

— No i jesteś już na świecie, śliczny, wymarzony chłopczyku.

Dr Rawlings podała mi ciebie i słowo daję, zauważyłam, że ociera łzę.

— Przez moment nie wierzyłam, że doczekam tego dnia — dodała zdławionym głosem.

A ja trzymałam cię w ramionach, tuląc do siebie, nie żadnego mrożonego indyka, którego hodowałam w żołądku, tylko maleńkiego człowieczka. Młóciłeś miniaturowymi piąstkami, próbując w ten sposób przemówić do mnie: maluteńki, ale w każdym calu doskonały, skończenie śliczny. Patrzyłeś mi prosto w oczy i pewnie nie pamiętasz, ale potarliśmy się noskami i to była ta pierwsza rzecz, którą razem zrobiliśmy.

— Cześć, kochanie — powiedziałam przez łyzy. — Cześć, moje kochanie. Jestem twoją mamusią. Daliśmy radę.

Podniosłam wzrok na Marka i Daniela, a oni obaj też mieli łyzy w oczach.

— No bo... no bo to wszystko tak daje po emocjach — wyłkał Daniel, ściskając ramię Marka.

— Wiem, wiem — wykrztusił Mark. — Słuchaj, możesz mnie puścić, proszę?

— Och, na litość boską, weźcie się w garść, to nie teatr — powiedziała dr Rawlings. — W życiu nie byłam świadkiem takich łzawych scen.

Drzwi otwały się znienacka.

— Bridget! — zawołała mama, spychając wszystkich na bok, żeby stanąć tuż przede mną i dzieckiem. — Czy ty dasz wiarę, że siedziałam właśnie obok Jej Wysokości, kiedy odebrałam ten telefon? I z miejsca przyjechałam. No bo przecież są rzeczy ważniejsze od królowej, ale z kolei...

— Pamela — wszedł jej w słowo tato. — Popatrz tylko. Twój

wnuk.

— Och — powiedziała. — Och, moje maleństwo. Mój chłopaczek. Delikatnie podałam jej ciebie, a wtedy zupełnie zmieniła jej się twarz.

— Och, Bridget. Jest precudowny.

Nie mogła powiedzieć nic miłszego. A potem dodała jeszcze:

— A możemy wysłać jego zdjęcie królowej?

Do sali wtargnęła Miranda z butelką sklepowego mojito, a zaraz za nią rozpromieniony Richard Finch.

— Bridget Jones. Jestem z ciebie taki dumny. — I tu przyjrzał mi się uważniej, przez chwilę jakby czymś się martwiąc. — O, dzięki Bogu, te gigantyczne cyce ciągle tu są.

Przyszli wszyscy. Tom i Shazzer wyściskali siebie wzajem i w ogóle każdego, kto im się nawinął. A Jeremy objął Magdę ramieniem, nagle totalnie rozkrochmalony.

— Strasznie cię przepraszam, najdroższa. Odtąd będzie zupełnie inaczej. Tyle dzieci. Tyle lat.

— Wciąż. Masz. Przechła. Pane — odparowała Magda.

Dokładnie w tym momencie drzwi znowu otworzyły się na oścież; wrócili Mark z Danielem, wyraźnie podminowani.

Spojrzenia wszystkich skierowały się w ich stronę.

— I?

— Musimy czekać — odpowiedział Mark.

Daniel sięgnął do ręki Marka, a ten nie zaprotestował i obaj usiedli, trzymając się za ręce.

— A oto i mamy zwycięzcę! — oznajmiła dr Rawlings, wparowując do sali. — Czy mam to ogłosić wszem wobec, czy też wolicie być sami? Niezły ubaw, prawda? Zupełnie jak finał *X Factor*.

— Chyba wszyscy jesteśmy jedną rodziną, co myślicie? — powiedziała do Marka i Daniela, a oni przytaknęli mi nerwowo.

— No to dobrze. Ojcem dziecka Bridget Jones nie jest nikt inny, jak...

CHWILA NAPIĘCIA...

— Mark Darcy!

— Och, dzięki ci za to, Chryste! — odetchnął Daniel, kiedy podałam cię twojemu prawdziwemu tatusiowi. — To znaczy, nie zrozum tego opacznie, Jones — dodał pospiesznie, widząc mój wyraz twarzy. — Jest milusi, ach, co ja mówię, jest przeuroczy. Ale znam swoje ograniczenia. Niech zwycięży najlepszy!

Mark patrzył na ciebie, pękając wprost z miłości i dumy.

— Może tak wreszcie spytasz? — szepnął.

— Daniel? — spytałam. — Chciałbyś być jego ojcem chrzestnym?

— Cóż, to jest, mhm, absolutnie... — Daniel zapowietrzył się na chwilę, ale zaraz się opanował. — Nadzwyczaj odważna i wspaniałomyślna propozycja. Tak, dziękuję — powiedział. — A że mój chrześniak jest chłopcem, nie musicie się bać, że mógłbym się do niej dobierać, jak skończy dwudziestkę.

— No dobrze. Dostyc tego. Niech wszyscy wyjdą — zarządziła dr Rawlings. — I niech mama i... tata... mają wreszcie trochę czasu dla siebie i syna.

— Dr Rawlings — powiedział Daniel, gdy wszyscy już zabrali się do wychodzenia. — Czy wolno mi stwierdzić, że nigdy w życiu nie widziałem równie seksownej istoty w białym fartuchu?

— Och, ależ pan niegrzeczny — odparła i zachichotała.

— Zaczekaj — zawołałam do taty, który właśnie wychodził. — Jeszcze nie dałam ci go do potrzymania.

Tato, czy raczej teraz już dziadek, bardzo delikatnie dotknął twojego policzka.

— Ups, uważaj, bo jeszcze mu głowa odpadnie — powiedział, kiedy Mark bardzo niezdarnie i cały w nerwach cię podawał.

A potem tato (mój tato) spojrzał ci w oczy — w oczy swojego maleńkiego wnuka.

— Opiekuj się nim — powiedział chropawym głosem do Marka. — I nią też.

— Panie Jones. Jeśli choć w jednym ułamku będę tak dobrym ojcem, jak pan dla Bridget, to wtedy...

— On będzie najszczęśliwszym dzieciakiem na świecie — dokończył za niego tata.

Dokładnie w tym momencie maleńka piąstka zrobiła kilka

wymachów, trafiając w jakiś przełącznik monitora i strąciła szklanę z kordialem z czarnej porzeczki, która zbiła się, przez co wszystko dookoła zrobiło się granatowe. Błysnęły światła i maszyna zaczęła natarczywie wyć jak syrena alarmowa przed nadciągającym atakiem z powietrza.

Do sali wtargnęła wyraźnie spanikowana dr Rawlings, a za nią wszyscy inni.

— Jaka matka, taki syn — przekrzykiwał zgiełk Mark. — Bridget?

— Co? — wrzasnęłam.

— Wyjdiesz za mnie?

— Jones! — ryknął Daniel, obrzucając Marka konspiracyjnym spojrzeniem. — Choć pewnie chciałbym jeszcze raz, domyślam się, że to już ostateczny koniec naszych sporadycznych bzykanek?

— Tak! — krzyknęłam z radością, zachwytem i lękiem, odpowiadając im obu naraz.

*

I teraz już wiesz, mój mały syneczku, jak doszło do tego, że zostałam twoją mamą.

Podziękowania

Serdecznie dziękuję:

Gillonowi Aitkenowi, Clare Alexander, Sunetrze Atkinson, Helen Atkinson-Wood, Marii Benitez, Grazynie Bilunskiene, Helenie Bonham Carter, Charlotte i Alainowi de Bottonom, Richardowi Cable, Susan Campos, Lizie Chasin, Richardowi Colesowi, Rachel Cugnoni, Dashowi i Romy Curranom, Kevinowi Curranowi, Richardowi Curtisowi, Scarlett Curtis, Patrickowi Dempseyowi, Paulowi Feigowi, Ericowi Fellnerowi, rodzinie Fieldingów, Colinowi Firthowi, Carrie Fisher, Piersowi i Pauli Fletcherom, Stephenowi Frearsowi, Julesowi Gishenowi, Amelii Granger, Hugh Grantowi, Simonowi Greenowi, Debrze Hayward, Susannie Hoffs, Jimmy'emu Horowitzowi, Jenny Jackson, Simonowi Kelnerowi, Charliemu Leadbeaterowi, Tracey MacLeod, Marianne Maddalene, Sharon Maguire, Murillo Martinsowi, Karon Maskill, Danowi Mazerowi, Sonny'emu Mehcie, Maile Meloy, Leah Middleton, Abi Morgan, Davidowi Nichollsowi, Catherine Olim, Imogen Pelham, Sally Riley, Renacie Rokicki, Mike'owi Rudellowi, Darrylowi Samaraweerze, Timowi Samuelsonowi, Emmie Thompson, Patricii Toro Quintero, Danielowi Woodowi i Renée Zellweger.

I pragnę też wyrazić specjalne podziękowania Brianowi Siberellowi.

